Nr. 39. Poznań, niedziela 27-go września 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Warunek bytu.

Przez

Maksa Nordana.

I.

„Czy nie masz jednego lub dwu ideałów na zbyciu? Kilka zużytych ideałów. Wyrządziłbyś mi nimi wielką przysługę.“ Tak mówi przeżyty Ulryk Brendel w Ibsena „Rosmersholmie“ do swego ucznia idyoty Rosmera. Ze stanowiska tuczenia swego brzucha, ze stanowiska odcinacza kuponów od papierów wartościowych, nic nie wydaje się zbędniejszem niż ideał. W istocie jednak to jest najniezbędniejszem. Nie dla indywiduum; kwestyę tę z góry usuńmy z pod dyskusyi. Drobnostkowe szczegóły życia jednostki nie cierpią z braku ideału. Przecież ideał nie ma żadnego widocznego wpływu na sen i trawienie! Ale dla każdego zbiorowego ciała jest rzeczą niezbędną. Nie od razu, nie zawsze bezpośrednio daje się to spostrzedz. Nie ma bowiem zróżniczkowanego uczucia wspólnego, któreby brak tej potrawy, lub nasycenie się nią uwiadomiło; nie ma wyraźnego głodu ani pragnienia ideału w masach. Ale pomimo, że organizm narodowy nie spostrzega tego zmysłami, czego mu braknie, to przecież wyzbycie się ideału opłaca tajemną niemocą, która mu szpik w kościach wysusza a z czasem niezawodnie go zabija.

W laboratoryach fizyologicznych można widzieć używane do doświadczeń zwierzęta, na których studyuje się rolę poszczególnych pierwiastków w pożywieniu. Takiego psa lub królika karmi się potrawami, w których brak zupełny żelaza, albo chloru, albo potasu, albo siarki. Biedne stworzenie najada się do syta. Pożywienie smakuje mu wybornie, wydaje się, że mu nic nie brak. Potrawa smakiem, zapachem i wyglądem nie różni się wcale od normalnie spreparowanej. A przecież brak jej czegoś i zwierzę chudnie, wypadają mu włosy, kości jego robią się strupieszałe, kruche i zwierzę ginie.

Zwierzę takie jest symbolem narodu, któremu na pozór wybornie się powodzi, który się cieszy pokojem, ładem i dobrobytem, pielęgnuje nauki, pisze książki i sztuki piękne spełnia, który jednakże mimo dostatków i mimo ustroju wybornego na pozór, żyje bez ideału.

Ludzie przekonani o ograniczoności umysłów poddańczych i uważający to za coś korzystnego, prawią zawsze: „Narodowi potrzeba religii.“ A Pailleron parodjuje to typowe wyrażenie hofratowskiego rozumu dość dowcipnie, wkładając w usta jenerała, chorego na rozmiękczenie mózgu w swoim „Swiecie nudów“ słowa: „Naród potrzebuje tragedyi.“ Jednak dogmat ten powinien brzmieć właściwie: „Naród potrzebuje ideału.“

We Francyi organizm narodowy okazuje niepokojące objawy. Ludzie młodzi nie chcą się żenić. Małżeństwa nie chcą mieć dzieci. Dorastające pokolenie, które się gotuje do wystąpienia na arenę, gdzie się rozstrzyga gra życia, bez wzdrygania się oświadczają, że jedyną ich ambicyą jest: dużo pieniędzy zarobić, dużo używać. Głośniej niż kiedykolwiek idzie po kraju hasło: Bogaćcie się!“ Każdy marzy o urzędzie, o synekurze.

Leibnitzewskie prawo natury o najmniejszem natężeniu uczyniono prawidłem życia karyerowiczów: jak największy zysk a jak najmniej pracy. Mądrość ostatniego owego zdania okazuje się brutalnem samolubstwem. Bliźni są po to, abym ja ich zużywał na swoją korzyść. Jest się eleganckim, dowcipnym, gładkim uprzejmym i podczas gdy w towarzystwie, które nic ze swej przesadnej ogłady nie straciło, ludzie swobodnie ze sobą obcują, doznając wszelkich estetycznych rozkoszy. każdy poza uśmiechem i dowcipnemi słowami dla sąsiada, jedną tylko kryje myśl: „W jakiej też przyprawie mam ciebie zjeść?“ — Zjawiają się więc powołani lekarze, rząd, nauczyciele, moraliści, stają do koła chorego, opatrują mu język, próbują pulsu, potrząsają głowami, opierają brody na dłoniach, próbując odkryć siedlisko złego i jego rozmiary.

W uroczystej mowie podczas największej uroczystości szkolnej we Francyi, tj. podczas rozdawania nagród zwycięzcom „powszechnych zapasów pomiędzy wszystkiemi gimnazyami Paryża i Wersalu“, Paweł Desjardins bardzo bystro roztrząsał tę kwestyę. Paweł Desjardins, gimnazyalny nauczyciel filozofii i autor moralnofilozoficznych traktatów, z pomiędzy których „Le devoir présent“ ma być najpopularniejszym, jest lekarzem specyalistą dla chorób ducha narodowego. Naród francuski obserwuje on już dawno. Podjął się nawet jego leczenia. Przepisuje mu mianowicie leczenie wiarą za pomocą systemu Oertela i szwedzką gimnastykę pracy. Czytelnik sądzi zapewne, że się nie dość dokładnie wyrażam. Jednak jak Oertel zalecał chorym swoim chodzić i wspinać się pod górę, nie aby dojść dokądś, tylko dla ruchu, tak Desjardins zaleca narodowi francuskiemu wiarę, nie w coś określonego, nie w Boga, Trójcę, raj, albo piekło, ale w pożytek wiary, mniejsza o to jakiej. Ma się więc wierzyć dla wierzenia, jako celu samego dla siebie, jako lekarstwa. A ma to działać tak, jak szwedzka gimnastyka, która nie jest pracą dla jakiegoś pożytku, lecz aby członki rozprostować i mięśnie ćwiczyć. Tylko, że chory widocznie nie zrozumiał czego chcą od niego i nie okazuje wcale skłonności do postępowania wedle recepty.

W mowie swej przy rozdawaniu nagród Desjardins uznał dalej, że duchowi narodu francuzkiego jest brak jedności. Wyjaśniał, że rozumie przez to brak jakiegoś sposobu myślenia i czucia, ktoryby był wspólny wszystkim wykształconym Francuzom.

Minister oświaty zaoponował mu w swej odpowiedzi. Duchowi francuskiemu nie brak jedności — mówił — miłość ojczyzny stanowi tę jedność.

Co do mnie, to wraz z panem ministrem sądzę, że p. Desjardins się myli. Nie położył palca na ranę. Naród, aby był zdrowym, wcale nie potrzebuje jedności myślenia i uczucia. Owszem ta jedność musi objawem być zabagnienia. Kontrasty bowiem działają z reguły podniecająco i płodnie, i raczej są pożądane niż szkodliwe. Ale to, czego w istocie brak ludowi francuskiemu, to jest ideał. Miłość ojczyzny, o jakiej mówił minister Rambaud, nie zastąpi tego ideału. Jako afekt powszechny jest ona bierną; aby zaś stała się czynną musi mieć bliżej określoną treść, a tej właśnie nie ma.

II.

Zazdrości godzien jest naród, który dokładnie określony cel przed sobą widzi, do którego dąży, lub tęskni, do którego wędruje, lub dłonie ku niemu wyciąga, chociażby nawet był nie wiedzieć jak dalekim i niedoścignionym!

W takich narodach każde dziecię przychodzące na świat, znajduje bogactwo w swej kołysce. Tak było z Włochami w czasach „Risorgimento“. Każde dziecię, które we Włoszech w tych wspaniałych czasach jutrzenkowych od r. 1815 do 1866 do życia powstało, dokładnie wiedziało czego chcieć i co jego obowiązkiem. Od chwili, w której do swobodnego myślenia zdolne było, mówiło sobie: „Jestem po to, aby walczyć za odrodzenie Włoch wszelkimi środkami! Stanę się spiskowcem, wezmę szpiczasty kapelusz i sztylet Carbonarów; gdy wybije godzina, pójdę w bój przeciw obcym i swoim tyranom i spełnię wielkie sny Dantego, a jeśli tego nie uczynię, uczynią to moi synowie, wnukowie wnuków moich, a jeśli tak będzie koniecznem, złożę na to świadectwo krwi; a jeżli zgniję w więzieniu jak Silvio Pollizo, albo kat mnie powlecze na szubienicę Morellego, to będę wiedzieć, żem nienapróżno żył!“

To przeświadczenie nadawało całemu pokoleniu Włochów owych czasów cudowną pewność siebie i siłę czynów. Nie istniały ani zwątpienie, ani znużenie, ani klęska. Leopardi był wyjątkiem, którego też współcześni nie rozumieli. Pesymizm i abdykacya były im nie znane. Wiedzieli co to zawziętość i gniew, ale gesty zwieszania głowy i załamywania rąk były im nieznane. Ich druzgocącym zapałem i wesołą ich działalnością epigonowie ich dotychczas się krzepią, jakby fantazyą pieśni Homera.

Podobnie było w Hiszpanii. Siedm wieków chrześcianie hiszpańscy nosili ideał w duszy, aby półwysep swój uwolnić od zdobywców muzułmańskich. Półksiężyc, który ponad stolicami czterech andaluzyjskich królestw połyskiwał, wskazywał ich snom i życzeniom drogę. A ta wiecznie żyjąca myśl o świętym obowiązku, który spełnić należy w walce na śmierć i życie, wychowywała mężów Kastylii i Aragonii na lud żelazny, którego „nigdy niezwyciężona piechota“ jak się Bossuet z podziwem wyraża, czerwono złotą wieżę i sztandar z lwem, w obu światach straszliwemi uczyniła.

A Niemcy, kiedyż zaznały świeżego życia duchowego, silnego rozwoju zmysłu bohaterskiego, młodzieńczej otuchy, jak nie w czasach od Wartburskiej uroczystości do wersalskiej proklamacyi cesarza? Wtenczas był w istocie przeciętny Niemiec „pieśniarzem i bohaterem“; była szerokość w duszach, wielkość w nadziejach i dążeniach, które przerażają ciasnotę małych państewek nie w tragicznem świetle, lecz przeciwnie niemal w humorystycznem postawiły i może właśnie dlatego tak długo z uśmiechem ją znoszono.

Niedawno temu prosił mnie pewien młody Polak o wpisanie się do pamiętnika. Napisałem mu na kartce ze złoconymi brzegami:

„Dziejowe nieszczęście narodu polskiego jest jego życiowem (biologicznem) szczęściem. Ponieważ nieszczęście to narodu nie zabiło, z konieczności musi go wyrobić na najodporniejszy i najpełniejszy charakteru naród Europy. Bohaterstwo stanie się u Polaków niejako przemysłem domowym“.

Oto jest wpływ stałego ideału. Utrzymuje naród przy życiu i siłę mu daje. U istot żyjących, jakaś praca ustawicznie wykonywana, stwarza dla siebie organy. To jest zasadnicze prawo fizyologii. Słowa zaś poety: „Człowiek rośnie ze swemi zadaniami“ można uogólnić w ten sposób: „Narody rosną wraz ze swemi zadaniami“. Tęsknota, nadzieja, świadomość posłannictwa, wskazują na przyszłość i przyszłość tę narodowi poręczają.

Lecz aby ideał zachował całą swą siłę ożywczą, nie może być zbyt łatwo osiągalny. Gdyż skoro się urzeczywistni, traci moc i przestaje być cnotą.

Dla tego też największem i najgłębszem rozwiązaniem problematu stałego ideału dla narodu, jest nadzieja przyjścia Mesyasza, przez którą prorocy żydowscy narodowi swemu byt na lat tysiące zapewnili. Żydzi nie zginęli bo wierzą w przyjście swego Mesyasza.

To dało im siłę znieść swe losy ziemskie. Mieli ideał swój, który ich prowadził od stulecia do stulecia i szli za nim z ekstazą, niespostrzegając prawie cierni swej bolesnej drogi. Ideał mesyaszowy nie podlega żadnym zmianom ani zanikowi, gdyż wiecznie jest niedoścignionym. Lud, który wmówi w siebie, że zjawił się już jego mesyasz, nie pojął ostatecznej myśli i wartości mesyaszowego ideału i dowodzi, że tak wysokiego symbolu nie jest godzien.

III.

Możnaby jednak rzucić pytanie czy jest usprawiedliwionem, aby jakiś organizm narodowy zbyt długo istniał.

Naród jestto indywidualność wyższego rzędu i być może, iż wszystkie argumenta, któremi Götte i Weismann dowodzą biologicznego pożytku ze śmierci tj. ze znikania poszczególnych indywiduów, odnoszą się nie tylko do jednostek, ale też do organizmów zbiorowych. Możliwe, że ludzkość nie ma żadnej korzyści ze zbyt długiego istnienia indywidualności narodowych, i że dzieje świata, pojmowane jako pochód przemienny ludzkości do coraz wyższych zadań, dokonywać

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(*Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.*)

(Dokończenie).

Tak. Zameczek cofnął się, nie uległszy sile, lecz wprost stchórzywszy, i tem zgubił cały oddział, i był przyczyną przegranej Siemiatyckiej. Cofając się przez błota, masę daremnie wystrzelanych wytracił.

Tymczasem Szaniawski ze swymi strzelcami, odbija strzelców rosyjskich — cofają się oni dwukrotnie przed jego strzałami, lecz nas zasypują gradem kul armatnich i karabinowych, nie podchodzą wcale pod nasze strzały. Trwa ta nierówna walka godzinę całą!

Nieprzyjaciel znów zbiera się do ataku skierowanego głównie na prawe nasze skrzydło, i idzie wprost na rynek, gdzie stał Lewandowski. Nowy goniec od niego: „Cofam się, bo nas okrążają i ataku nie wytrzymam!“ Cały zastęp nieprzyjaciela przed nami. Strzelcy nasi, klęcząc po za sztachetami pałacu strzelają mierząc dobrze i tem zapęd ich powstrzymują. W tem Radowicki wpada z wiadomością, że wróg już na rynku, że Lewandowski się cofnął i, co robić pyta? Ha! i musieliśmy się z rozpaczą cofnąć i ruszyć do obozu, by go kozacy nie dosięgli. Rzeczywiście czas był wielki. Radowicki pędem przebiega rynek, most i wpada do obozu, gdy z drugiej strony już kozacy zdołali odciąć konie od paru wozów. Radowicki obóz odbija, zabiera go i prowadzi na drogę, po której przyszliśmy ku owej karczmie, w której nocowaliśmy. Ja tymczasem, wycofuję Szaniawskiego i zbieram oddział.

— Chłopcy! wołam, cofamy się, ale krok za krokiem, strzelając!

Tym sposobem zasłaniamy kosynierów, idących naprzód z Golianem, Wchodzimy na rynek; po jednej stronie — nieprzyjaciel, po drugiej — my. Strzelając do siebie wchodzimy na most. Tu, w ściśniętej kolumnie kilkunastu z nas pada od strzałów nieprzyjacielskich. Dążymy bezładnie na drogę, po za miasto, które, objęte dymem i ogniem od strzałów zapala się i oświeca nam złowrogo drogę odwrotu. Rozpacz i gniew miota nami, że trzeba się cofać, gdy rano jeszcze tak pewni byliśmy zwycięztwa! Zameczek dał się wybić z pozycyi, a Jabłonowski nie przybył, pomimo rozkazu. To nas zgubiło!

Ow Jabłonowski odtąd ustąpił z pola działania. Wyszedłszy za granicę, został agentem kompanii francuskiej i przed paroma laty umarł w Turcyi.

* * *

XIII.

Przegrana Siemiatycka musiała bardzo ujemnie oddziałać na rozwój powstania w gubernii Grodzieńskiej. Ja zostałem bez ładunków, zaledwie po parę sztuk mieli strzelcy. Mieliśmy wprawdzie jeszcze proch, lecz trzeba było czasu, aby ładunki przygotować, a żołnierz łaknął odpoczynku po dwóch dobach głodu i zmęczenia. Zatrzymuję się w karczmie na drodze do Wysokiego litewskiego na nocleg. Tu zastaję Lewandowskiego z częścią rozbitków Zameczka, jego samego i Seyfryda, gotowych do ucieczki. Gdy nas spostrzegli, pędem się puścili ku Bugowi i odtąd ich więcej nie widziałem!

Żałuję żem ich nie kazał przedtem rozstrzelać!

Dowiedziałem się później, że dopadli do Drohiczyna, tam z obozem wprzód wysłanym poszli dalej, że Zameczek przystawszy do oddziału Padlewskiego, znowu stchórzył i przyczynił się do przegranej.. Co się stało z Zameczkiem? nie wiem. Zapewne przestał się nazywać w ten sposób. Seyfryd dobił się dowództwa w województwie Mazowieckiem, lecz kto mu dał taką godność? także nie wiem. Wiem tylko, że w pamiętnej bitwie, w której zginął Jung de Blankenheim, a Włodek ledwie część oddziału wyratował (w maju, 1863) Seyfryd nędznie się popisał, wycofał ze środka i pozwolił nieprzyjacielowi otoczyć jednego i drugiego. Miał być za to wyrokiem Rządu Narodowego rozstrzelany, lecz w skutek słabości komisarza rządowego, który wyrok

się mogą przez smierć i narodziny coraz to nowych narodów. Ale od poszczególnych narodów nie można wymagać, aby pojęły swoją własną zbyteczność i uznały potrzebę swojej śmierci. Jeżeli naród wiedziony zmysłem samozachowawczym wola: „A jednak żyć muszę!“ to nie jest rzeczą jego przewódzców i prawodawców dawać mu straszliwej odpowiedzi napoleońskiej: „Nie widzę, dlaczegoby to było koniecznem“.

Jeżeli się więc usunie na bok pytanie: „Czy jest jaki pożytek z długiego istnienia narodu?“, a w jego miejsce postawi się inne: „Jakie środki najlepiej zapewniają mu byt długi?“, to odpowiedź jest jedna tylko: „Ideał mesyaniczny“.

Jakiś tępy krytyk może powiedzieć, że to jest nic więcej jak transcedentalną przeróbką przysłowiowego na drzwiach gospody: „Dziś za pieniądze, a jutro za darmo“. Ale to pobożne wywiedzenie w pole, usprawiedliwia się przez korzyść, jaką sprowadza. Naród rzymski panował nad światem. W tem przewódzcy jego dali mu za ideał: „Chleb i igrzyska“, to jest bezpośrednie, praktyczne zadowolenie i naród rzymski marnie zginął.

Równocześnie małemu narodkowi zachodniej Azyi, prorocy dali za ideał powietrzne, dalekie przyrzeczenie i szczep ten żyje do dzisiaj.

Wielką wadą osiągalnych ideałów narodowych jest to, że są osiągalne. Nie ma bowiem cięższego, niebezpieczniejszego przesilenia dla narodu, jak zniknięcie jego ideału przez jego urzeczywistnienie. Jeśli mu rychło nie powiedzie się znaleść drugiego ideału, to popada w zanik, w którym każdy wypadek dziejowy, który go dotknie z łatwością stać się może dlań śmiertelnym.

Jeżeli Hiszpania wiekami tak daleko wstecz się cofnęła od 16-go stulecia, to dlatego, że nieznalazła innego ideału, w miejsce swego dawniejszego, którym było: uwolnienie kraju od Maurów, kiedy mnisi zajęli Alhambrę. Włochy i Niemcy po sławnem dokonaniu swego zjednoczenia, niezdołały wyrobić sobie żadnego nowego ideału narodowego i to jest przyczyną głębokiego niedomagania obu narodów. W Niemczech tylko socyalizm ma ideał i dlatego socyalistyczne stronnictwo jest najsilniejszem i najżywotniejszem.

I Francya także choruje przedewszystkiem na brak ideału: ideał odwetu na Niemcach, strasznie niebezpieczny, mogący doprowadzić do zguby, był przecież nieoceniony, czynny i płodny. Jeśli Francya zdumiała świat przez swe rychłe odrodzenie się, jeśli bez szemrania znosiła do niemożliwości spiętrzone ciężary, jeśli gruzy wojenne, że tak powiem, przez noc uprzątnęła, kosztem miliardów budowała koleje strategiczne i fortyfikacye, armię swoją z gruntu w sposób zdumiewiający przekształciła, to działo się tylko dla tego, że lud francuski miał wiarę w swoje zadanie; każdy Francuz w spartańskich latach 1870-ych był przeświadczony, że musi Sedan krwią wykreślić z księgi dziejów, a Alzacyę i Lotaryngyę odzyskać i dobrowolnie czynić wysiłki, które mu się konieczne zdawały. Ale z biegiem czasu naród francuski zbłąkał się od tego ideału. Słyszał jak jego przewódzcy mimo wycieczek ubocznych ciągle zapewniali o swej miłości pokoju; widział jak jego rząd polityce państwowej nadawał kierunek zamorskich zdobyczy. Niewierzył już w odwet, uważał za rzecz bez celu stać z przepasanemi biodrami w ciągłem pogotowiu, aby pójść ku granicy. I odkąd naród francuski stracił tę wiarę, trapią go najróżnorodniejsze choroby i dekadentyzm i budzą w mędrcach jego troski, które Paweł Desjasdins w swej mowie przy rozdzielaniu nagród wyraził. Statystyk, ekonomista, nie łatwo ujmą tę prawdę w cyfry, lecz historykowi z powołania nie łatwo się ona wymknie. Tą prawdą jest, że: „naród żyje swoim ideałem“. Polityka trzech królów biblijnych jest jedynie zdrową polityką. Zawsze za gwiazdą przewodnią! Tylko w ten sposób zachodzi się daleko.





Przegląd prasy polskiej.

Z kresów.

„Przegląd Wszechpolski“ zamieszcza korespondencyę z Górnego Szląska, do której dodaje od siebie uwagę: zamieszczając ten artykuł, pochodzący od jednego z mieszkańców Śląska, powstrzymujemy się tymczasem z wypowiedzeniem własnego zdania w poruszonych sprawach:

O krzywdach, jakich doznaje tu polskość na każdym kroku i o tem, jak taki prezes regencyi z niebywałym dotąd cynizmem śmie nam urągać, wiecie dostatecznie z prasy prowincyonalnej.

Tych, którzy obojętnie wysłuchali pogróżek, a nawet najpospolitszych wyzwisk ministra Bossego z trybuny parlamentarnej, nie może też wytrącić ze stanu bierności postąpienie najświeższej daty dr. Bittera, prezesa regencyi opolskiej, w Gliwicach.

Prasa prowincyonalna spełnia swoje zadanie, zaznaczając każdy taki wyskok rasowej nienawiści, informując szersze koła. Powtarzanie wszakże tego samego w kółko, nie tylko, że nic sprawy nie polepsza, ale owszem wytwarza duszną atmoferę, do której organizm ludzki powoli gotów przywykać. Chrońmy się tej ostateczności i zamiast lamentów, zastanówmy się nad godną obroną nie słowem oczywiście, lecz czynem zbiorowym.

Snadź wszyscy zdajemy sobie sprawę z krytycznego położenia z jednej i z niedostateczności dotychczasowych sposobów i środków obrony, z drugiej strony. Potrzebę reformy w tym kierunku w zaborze pruskim nzasadnił i drogi na przyszłość wytknął p. Ostoja*).

*) Patrz artykuł p. n. „Polityka polska wobec nawały pruskiej“. „Przegl. Wszechp, nr. 12.

---

miał wykonać, zdegradowanym jedynie został, pozbawionym dowództwa i że okryty hańbą wyszedł za granicę.

Przenocowawszy w karczmie, zebrawszy swój oddział i resztki innych, ruszyłem napowrót ku Wysokiemu-Litewskiemu, by przerzucić się napowrót w Podlaskie, lub iść do Białowieży, gdzie mnie coś ciągnęło... Najgłówniejszą myślą moją było: przerzucić powstanie na Litwę, by jego obszar był większy; a tem samem i trudniejszy do stłumienia. Przed wieczorem, na kilka wiorst przed wsią Zienkiewiczów, dowiaduję się, że Rosyanie pod dowództwem generała Nostitza tam biwakują. Byłem w pozycyi nie do pozazdroszczenia, gdyż ani czem atakować, aniteż czem się bronić. Wpłynęło to na mój odwrót ku Białowieży. Schodzę z drogi i zatrzymuję się w wiosce o 3 wiorsty od gen. Nostitza, tak, że tylko niewielkie błota i brzezina nas rozdzielały, a pikiety mogły ze sobą rozmawiać. Rozbiwszy obóz, na prędce robimy ładunki, wyczekując lada chwila nadejścia Nostitza. Lecz ten dwa razy już się z nami potykał, więc liczył, że znowu na niego uderzę. Przy tem, jak się okazało, nie wiedział o naszej porażce; był pewnym, że ja, zebrawszy siły Siemiatyckie powróciłem by go atakować... Tak staliśmy wprost siebie blisko dobę. Ja, odpoczywałem i zbroiłem się, oczekując napadu z jego strony...

Tutaj to właśnie zawiązała się między nami, jakby pierwsza znajomość...

Odbieram kartkę od pani Zienkiewicz, że były oficer armii rosyjskiej, niejaki Janiszewski, Tatar z pod Biały, który był u mnie w oddziale, a ranny pod Niemirowem, w powrocie do domu, wziętym został przez gen. Nostitza, jest u niego i jako oficer, będzie zapewne rozstrzelany. Ja zaś, miałem u siebie dwóch oficerów, wziętych pod Białką do niewoli.

Na taką wiadomość powziąłem myśl, zaproponować gen. Nostitzowi zamianę... Sadzam więc na brykę jednego z tych oficerów, kosyniera na kozieł i posyłam do generała z listem:

— Jenerale! proponuję zamianę. Wypuść Janiszewskiego, odeszlę Ci drugiego oficera. Jeśli nie, to — rozstrzelam!

W parę godzin wraca oficer, przywozi list od Janiszewskiego, że jest wolny, że jedzie do domu i kartkę Nostitza w tych słowach: „Proszę dotrzymać słowa!

Ma się rozumieć, że dotrzymałem. Sadzam drugiego oficera na brykę i odsyłam obu. Kosynier z bryką powrócił odwiózłszy jeńców do obozu.

Była to, jak powiadam, pierwsza moja listowna znajomość z gen. Nostitzem, która, później dla mnie miała bardzo ważne następstwa...

Doba cała przeszła, jak patrzyliśmy sobie w oczy. Ja, niemogłem zebrać sił by być pewnej wygranej, więc postanowiłem ruszyć do Białowieży, licząc na pozycyę w lasach, na lud tameczny, na ogólny ruch powstania.

Zwinąłem więc obóz i ruszyłem ku puszczy. Na noc dotarłem do wsi pana Śniżko. W domu go nie zastałem. Przyjechał dopiero w nocy z jakimś urzędnikiem ziemskim. Był wdowcem i miał ładnego chłopca, wieku lat 12 do 14.

Tu, u Śnieżki, chciałem zdać główne dowództwo Lewandowskiemu, jako naznaczonemu przez Rząd Narodowy, by dać przykład posłuszeństwa. Lecz wszyscy co byli ze mną od początku, jednogłośnie powstali przeciw temu, prosząc, bym ich prowadził i nadal. Nad ranem wyszliśmy w stronę puszczy. Nostitz, spostrzegłszy żeśmy wyruszyli bez atakowania jego wojska, wyruszył za nami, tak, że wieczorem po naszem odejściu nadszedł do Śnieżki. Kozacy jego wpadli najprzód w dziedziniec. Przed domem spotykają kucharza Śnieżki, który, ujrzawszy ich, wystrzelił jakoby do nich. Śnieżko wypadł na dziedziniec, chcąc załegnać burzę. Wtedy jeden z kozaków uderzył go pałaszem i na miejscu trupem położył. Wszczął się alarm. Wojsko podchodzi, strzelanina na oślep z armat. palą wieś i niszczą majątek. W jednej chwili młody Śnieżko utracił ojca i mienie! (Jestto późniejszy Śnieżko, znany ze sprawy denuncyacyi przeciw Towarzystwu kredytowemu i uwolniony wyrokiem sądu! Obecnie pełni w Rosyi obowiązki biurowe...)

Zaledwie weszliśmy do puszczy, gdy Lewandowski nagle oświadczył, że dalej się nie ruszy, że musi wracać za Bug, do korony, gdyż tam naznaczony na dowódzcę. Nie

Drogi to dobre, sięgają wszakże zadaleko w przyszłość, podczas gdy my tu na poczekaniu potrzebujemy godnego odparcia tylu napaści. P. Ostoja zajmuje się zresztą więcej Poznańskiem, niż Śląskiem, który odmiennego nieco traktowania wymaga.

Politykę koła naszego w Berlinie, mocno nadszarpniętą, dobijając się dziś do władzy, nowe żywioły niewątpliwie w niezadługim czasie skierują na inną drogę.

Ale bawienie się w chowanego, jakie się odbywa pomiędzy naszymi prowodyrami śląskimi a centrum, wymaga niewątpliwie silniejszego bodźca z zewnątrz, aby się raz na zawsze otrząsnąć z tych ubocznych naleciałości i o własnych siłach kroku spróbować.

Małoduszna nieszczerość nie pozwoliła nam od samego początku przyznać się do narodowo-polskich dążeń przy wyborze naszych posłów i do dziś dnia nie zdobyła się na otwarte rozwinięcie polsko-demokratycznego sztandaru, pod którym niewątpliwie walczymy.

Niemcy widzą, co się święci i krzyczą w niebogłosy na naszą agitacyę narodową. My jednakże wobec tego udajemy najniewinniejszych, dowodząc, że lud śląski jak był dawniej, tak jest i obecnie wiernym poddanym Centrum niemieckiego, i byle tylko panowie Ballestrem i t. p. przestali się odgrażać biciem chłopów polskich po pysku, to on gotów tak samo Ballestremów wybierać według rokazu, jak obecnie Szmulów i Radwańskich, a o agitacyi t. zw. wielkopolskiej, czyli narodowo-polskiej, nic nie wie i na przyszłość jej się wyrzeka.

Jest to nieszczerość, która na własnej naszej skórze najwięcej się odbija. Narodowo-polska agitacya była na Śląsku, jest obecnie, a w przyszłości tylko spotęgować się może, bez względu na to, czy się to podoba lub nie podoba pp. Bitterom. Zresztą prezesów regencyjnych i ministrów pruskich o sympatyzowanie z naszemi dążeniami na Śląsku nikt nie podejrzewa, trudno więc rozumieć, na kogo i za czem jeszcze oglądać się mamy.

Nieszczerość ta i dwulicowość uwydatnia się na każdym kroku, w sposób dla nas zawsze szkodliwy.

U nas, jak to Wł. Bełza w dziełku „Na Śląsku polskim“ dowodzi, już sama rozmowa polska, byle głośno prowadzona, pobudzając lud prosty do naśladownictwa, jest środkiem agitacyjnym bardzo pożądanym. Już samo zaznaczenie potrzeby mówienia głośno, dowodzi, że nie umiemy mówić uczciwie po naszemu, a w każdym razie, że nie umiemy mówić głośno.

Czas przedwyborczy wszędzie na świecie wyzyskiwany bywa na to, aby wiecami, zebraniami i w ogóle głośnem zachowaniem się nietylko zwrócić uwagę ludu na sam akt wyborów, lecz wyzyskać sposobność taką w celu agitacyi narodowej w ogóle. Tak mianowicie postępują w Prusiech i na Warmii, gdzie w jednym tygodniu na kilku zebraniach, zwołanych w rozmaitych stronach, przemawiają: Milski, Kulerski i inni naprzemiany.

Tu odmiennie się dzieje. Nie działacze nasi polityczni wywołują tu zdarzenia, lecz naodwrót, okoliczności zmuszają tu naszych prowodyrów do podążania za niemi.

Tem się też tłomaczy, że mimo licznych walnych bitew i mimo trzech wygranych walnych, ani jedno nazwisko nie łączy się z historyą tych walk i zwycięstw.

Lud zwyciężył — tak brzmią biuletyny wojenne, a hetmani nasi, nie mogąc wymienić wielu bardziej zasłużonych ludzi, każą się domyślać, że to ich skromność tylko, własnych ich nazwizk wyraźnie wymienić nie pozwala. Tymczasem szeregowiec niezawsze tu mniej zasłużony od dowódzcy.

Celem uniknięcia podejrzenia, jakoby się tu istotnie agitacyę polską uprawiało — zgroza! — zakłada się n. p. „Towarzystwo historyczne na Śląsku“, ale wszystko odbywa się tak skromniutko, że ludzie, którzyby w miarę sił pragnęli i mogli towarzystwo to zasilić, dopiero w dwa lata później przez Poznań i Lwów przypadkiem się dowiadują, że jest jakie towarzystwo — nie wiedzieć, gdzie i na co, i że jest nawet majątek, nie wiedzeć, w jakim celu użyty. Niema w tem nic wyjątkowo złego, że zarząd tow. hist. nie mógł na czas wykonać tego, czego się podjął, bo nie potrzeba być zaiste redaktorem lub posłem, aby zrozumieć, że niezawsze wszystkiemu podołać można, lecz trudno zrozumieć, z jakich przyczyn zarząd sam siebie i całe towarzystwo taką tajemnicą otacza nazewnątrz, jak gdyby się bał pruskich przeszpiegów, lub jakgdyby pragnął wzbronić przystępu świeżym siłom, aby one snać nie uchwyciły steru w swe dłonie, którego on utrzymać nie chce, czy nie umie.

Monopol ten niemocy czy nieudolności raz skończyć się powinien. Nastąpi to wtenczas, gdy się obok K a t o l i k a uczciwy współzawodnik na polu pracy narodowej ukaże.

K a t o l i k, najstarsze i samym wiekiem już choćby najwięcej zasłużone pismo śląskie, mianowicie w ostatnim czasie znacznie postąpiło w kierunku narodowo-polskim. Jest to objaw tem bardziej pocieszający, że G a z e t a O p o l s k a i N o w i n y R a c i b o r s k i e nie wychodzą wiele po za ramy swego najbliższego obwodu.

K a t o l i k jednakże z jego 18 000 abonentów, z dodatkami: P r a c ą dla robotników hutniczych, R o l n i k i e m dla rolników, Ś w i a t ł e m ilustrowanym tygodnikiem beletrystycznym i innemi wydawnictwami nie jest, według mego przekonania, w stanie podołać pracy narodowej, w obwodzie górniczym nagromadzonej.

P r a c ę, jako organ związku robotników polskich liczącego około 4000 członków, należałoby podnieść do samodzielnego organu polskiego dla robotników polskich i rozszerzyć działalność jego oraz działalność związku usilną agitacyą, sięgającą po za granice obwodu hutniczego górnośląskiego, tworząc stałe agencye w obwodzie kopalni wszystkich i morawskich, a nawet w obwodzie hutniczym Małopolski. Odpowiednio uzupełniona, mogłaby P r a c a w objętości do 3 arkuszy samodzielnie wychodzić i sobie, jako wydawnictwu, zapewnić utrzymanie, a sprawie robotniczej polskiej rozwój i postęp.

Tak samo ramy K a t o l i k a, jako pi-

---

chcąc szerzyć rozdwojenia, objawiłem oddziałowi, że go zwalniam od dalszego pochodu, lecz gdy dywersya jest potrzebną, przeto wzywam młodzież na ochotnika ze sobą. Przystało wtedy do mnie 150 młodych ludzi, część Litwinów z pod Siemiatycz, z Bronisławem Rylskim i Leginem, rządzcą majątku z pod Siemiatycz. Resztę stanowili ci, którzy byli ze mną od pierwszej nocy powstania. A że wiedziałem, iż gen. idzie za nami, więc zaraz z ową młodzieżą wyruszyłem, zabrawszy ze sobą parę wozów, jeden z amunicyą, drugi ze srebrem, zabranym w Janowie. Były to przeważnie puhary, wartości kilku tysięcy rubli. Wyruszyłem zaraz, by zmylić rachuby Nostitza. Tak się też stało! Wszedłszy do puszczy, wziąłem jednego ze strażników granicznych, by nas prowadził. Przewodnik ów widział, żeśmy się rozdzielili, więc po mojem odejściu uciekł do Lewandowskiego, wpadł na Nostitza i opowiadał mu, że ja, (to jest ten, który był w czerwonej koszuli Garybaldowskiej) — poszedłem do Strażnicy „królowym mostem“ zwanej, reszta zaś wróciła do Królestwa. Widocznie uważał mnie gen. Nostitz za ważną personę, gdyż przepuścił obok siebie Lewandowskiego, który swobodnie przeprawił się za Bug, i poszedł za mną z dwoma batalionami piechoty, dwiema armatami i kozactwem.

Nocujemy w Strażnicy, na brzegu puszczy. Rozdzielają nas od niej błota i kanał przerznięty, na którym ów most zbudowany. Porządkuję oddział, wyznaczając oficerów, podoficerów i dzieląc go na sekcye. Była to dzielna młodzież, gotowa na wszystko, ostrzelana już trochę, więc łatwo było pomieszczać między nią nowych żołnierzy. Nad ranem przyjeżdża niejaki Tołaczko, mieszkający nieopodal i oznajmia, że zostawił Rosyan o dziesięć wiorst za nami. Rzeczywiście, nie przeszła godzina, gdy strzał pikiety daje znać, że nieprzyjaciel nadciąga. Stajemy do broni. Widzę iż nieprzyjaciel chce nas otoczyć i że się rozwija w łańcuch, by nam zabiedz drogę do lasu. Trzeba nam było przejść groblę i most. Wychodzimy łańcuchem. Zaczyna się kanonada. Dwa bataliony dały do nas ognia, byliśmy w mniejszości, więc cofamy się, strzelając. Tracimy kilkunastu na owej grobli, wchodzimy do lasu, na którego skraju zatrzymujemy się. Tak przetrwaliśmy kilka godzin.

XIV.

Kozactwo i żołnierze, wpadłszy za nami do Strażnicy, do domu, w którym nocowaliśmy na dziedzińcu, spostrzegli owe dwa wozy i leżące na nich kufry. Rozbili pierwszy, a gdy ujrzeli srebra, rabować je poczęli. Od strzałów zapaliła się słoma, ztąd pożar. Rozbijają drugi kufer, ale tam był umieszczony — proch... Eksplozya. Kilkunastu ranionych i zabitych pada. Darmo nam przynajmniej prochu nie zabrali!

Widzę, że Nostitz wysyła oddział na drogę ku Białowieży, i dla tego nie idę w głąb, lecz brzegiem puszczy, by się oddalić od napaści i zyskać na czasie, Późnym już wieczorem wchodzę do miasteczka Szczerzewa. Jestto już powiat Prużański i miasto Prużany w odległości wiorst dziesięciu od Szczerzewa.

Byliśmy głodni, dobrze obdarci i znów bez ładunków i prochu. Szczerzew nadspodziewanie dał nam wszystkiego pod dostatkiem: butów, bielizny i jadła obficie. Całe miasteczko na wyścigi się zbiegło, by nas nakarmić: a żydzi dostarczyli reszty; gdym zapowiedział, że płacę gotówką, dali nam to, czego najwięcej było potrzeba: prochu, ładunków i pistonów do karabinów mnóstwo. Prochu samego kupiłem dziewięć pudów. Tak więc znowu było czem strzelać. Zeszło godzin kilka na robieniu ładunków. Dowiaduję się, że w Prużanach stoi załoga 250 ludzi, w koszarach murowanych wśród miasta. Trzeba było dać znak życia i pomścić się za Królowy Most. Wezwałem mieszczan, by nam czemprędzej zaprzęgli wózki. W godzinę byliśmy już w drodze do Prużan. Był świt. Wpadamy do sennego jeszcze miasteczka, podjeżdżamy wprost do koszar. Ja na pierwszym wózku. Żołnierz na warcie. Stajemy, by nie strzelił i nie dał sygnału. Skoczyłem z wozu i za chwilę szyldwach leżał nieżywy. Padł od mego sztyletu. Wpadamy do koszar na korytarz. Tam leży półsenne żołdactwo. Strzały! Wszystko się poddaje. Wynoszą nam na wozy całą broń, amunicyę, a choć ich było dwa razy tyle, stają jak barany w pokorze. Idziemy do kasy. Tu zabieram całą gotowiznę — 12 rubli... i najskrupulatniej kwi-

sma politycznego dla ludu, koniecznie wymagają rozszerzenia. Śląsk dziś jest tak rozbudzony pod względem narodowym, że może utrzymać pismo codzienne — o co się dawno dopomina — które musiałoby uchwycić kierownictwo w sprawie narodowej. Katolik przeobrażenia takiego może się bez ryzyka podjąć. Podwyższając stosownie przedpłatę, nie potrzebuje się zbytniego ubytku obawiać, bo lud tu dostatecznie jest na to zamożny i niemal każdy z abonentów zdobędzie się bodaj na zdwojenie opłaty. A część abonentów, którąby odpaść mogła i tak niekoniecznie zginie, bo zasili wzamian resztę naszych gazet.

To, co w dzisiejszych warunkach byłoby najlepszą odpowiedzią p. Bitterowi na jego zachowanie się wobec agitacyi polskiej, na Śląsku, nastąpi w danym razie później, lecz poniewoli, bo na codzienne pismo Śląsk zbyt długo czekać nie pozwoli, a ludzi chętnych i zdolnych do pracy narodowej jest tu podostatkiem.

Nigdzie może prasa polska tak daleko nie odbiegła od wspólnego nam wszystkim źródła, jak na Śląsku. Nie jest to jej winą, bo prasa jest zwykle odbiciem stosunków swego otoczenia. Lecz nie mniej jest prawdą, że powinna być równocześnie drogowskazem i słupem ognistym, prowadzącym nas do ziemi obiecanej — narodowej samodzielności.

Odpowiedź na zaczepkę prezesa regencyi opolskiej niech się objawi w formie nowego wydawnictwa polskiego lub innej jakiejś instytucyi, utworzonej ile możności wspólnemi siłami i popartej przez naszą brać z innych zaborów.

Wobec wypierania się naszych polityków, że tu agitacyi wielkopolskiej nie ma, należy właśnie udowodnić, że jest agitacya nawet wszechpolska, a tem samem podnieść poczucie wspólności i poczucie siły w tych, którzy tu cierpią za Polskę, a nie doznają nawet zadosyćuczynienia, aby ich liczono do synów tej wspólnej i jednej naszej ojczyzny.

Pierwszą pracą przyszłego dziennika śląskiego, to zwołanie wiecu w celu ukonstytuowania się polskiego komitetu wyborczego, — to urządzenie wieców z ramienia tego narodowo-polskiego komitetu i otwarte zerwanie z niemieckiem Centrum.

Niech nasz ruch narodowy na Śląsku nie ulega dobrowolnie klerykalno-niemieckim wpływom, a przynajmniej niech nie wmawia tego w Niemców, lecz przeciwnie niech się od tej zależności uwolni i popłynie własnem, narodowem łożyskiem.

Uczciwymi sprzymierzeńcami Centrum pragniemy pozostać i nadal, lecz nasz stosunek lenniczy skończyć się powinien koniecznie i natychmiast, bo jako na nieszczerości i obłudzie oparty, korzystnym być nadal nie może.

Rozwiązanie to nastąpi najlegalniej na świecie utworzeniem się polskiego komitetu wyborczego na Śląsku, albo centralnego komitetu na cały zabór pruski.

* * *

Rozmowa o Poznańskiem.

„Kraj“ zamieszcza w ostatnim numerze następującą rozmowę o Poznańskiem. Nie można powiedzieć, aby spostrzeżenia te były w wszystkiem trafne. Przyczyną główną wychodzenia z rąk polskich większej własności, nie jest zbytek. Jeszcze mniej można zrozumieć tak bardzo pochlebne wyobrażenie o politycznem wykształceniu chłopów naszych. Byłoby to pożądanem, ale niestety jeszcze z latarką trzeba szukać chłopa, „co wie, co bierze do ręki“, albo „który doskonale pojmuje położenie w parlamencie i sejmie“, a i tych genialnych agitatorów nie tak łatwoby było odszukać. Trafniejszemi są końcowe uwagi o „nowych prądach“ i o centrum. Ale otóż i „rozmowa“ o Poznańskiem:“

Szczęśliwy przypadek nastręczył nam sposobność porozmawiania o sprawach politycznych z wybitnym obywatelem Księstwa poznańskiego,

Oto krótki szkic tej wymiany pytań i odpowiedzi. dotykających po kolei najważniejszych spraw bieżących. Prosimy przedewszystkiem o ogólną charakterystykę sytuacyi.

— Sytuacya — odpowiada gość z Poznania — jest w ogólnych zarysach zawsze ta sama, zawsze przygnębiająca i smutna. Zjawiskiem strasznem dla nas, trwającem oddawna, nadającem piętno stosunkom poznańskim, jest utrata ziemi. Pod tym względem nie widzę polepszenia i nie przewiduję go. Sprzedajemy ziemię nieustannie i sprzedawać ją będziemy w dalszym ciągu. Gdy myślimy o przyszłości naszego ziemiaństwa, najczarniejsze ogarniają nas przeczucia. Mając raz chwilę wolną, sporządziłem sobie spis właścicieli, którym absolutnie grozi wylecenie z majątków. Nie chcę nawet wymówić liczby nazwisk.

— No, przecież!

— Około czterdziestu.

— Czy to tylko wynikiem opłakanych dla rolnictwa stosunków, czy też może następstwem wad, które dziś grasują po dawnemu?

— Czyż pan przypuszcza, żeśmy się poprawili? Komfort, przyzwyczajenie do wygód zabijają nas. Porównaj pan Księstwo z Królestwem, a zobaczysz odrazu różnicę. Dziś szlachcic nie może już naszej młodzieży poczęstować byle jakiem winem, bo jeżeli etykieta nie modna, nikt go do ust nie weźmie. A cóż dopiero mówić o pokoju gościnnym! Możnaby mniemać, że im bliżej do bankructwa, tem śmielej zbytek się rozpościera. Rzecz oczywista, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby nie przesilenie, przygniatające rólników w całem państwie pruskiem.

— Skoro jednak na ziemi utrzymać się tak trudno, dlaczegoż kupują ją niemcy?

— Niemiec, który ją nabywa, bankrutuje także w wielkiej liczbie wypadków, odprzedaje ją znowu. Od niego nabywa ją atoli nowy przybysz z Saksonii lub Hanoweru, my zaś tego przypływu nabywców nie mamy. Saksończyk, słysząc o nizkich cenach ziemi w Księstwie, skusi się zawsze, i w ten sposób wytwarza się ten nieustanny prąd, który pochłonie naszą własność ziemską, o ile jej nie uratujemy przez parcelacyę.

— Więc o lud można być spokojnym?

---

tuję kasyera, nie ruszając wszakże pieniędzy wdów i sierot tamże złożonych.

Następnie rozbrajamy odwach więzienny i wypuszczamy wszystkich na wolność, gdyż nie miałem co robić z jeńcami.

W południe wychodzę z Prużan, skąd tylko dwóch ochotników przystało do nas i kieruję się ku Kobryniowi. Chciałem się przerzucić na Wołyń, by zmylić ślad za sobą. Po drodze wstąpiliśmy do majątku Szemiota, majora z 30 roku, tęgiego jeszcze, starego wojaka. U niego nocujemy.

Tu dowiaduję się, że Nostitz idzie za mną, że był w Prużanach, i że z Kobrynia wyszło wojsko z drugiej strony, by mi zajść drogę. Przybywa Hofmajster z pod Prużan. Dawny to z Orenburgskich batalionów zesłaniec, bardzo szlachetny i prawy człowiek, kochający kraj obywatel. Przywozi pudełko cygar, a że ja nie byłem namiętnym palaczem, przyszła mi niewinna myśl do głowy i napisałem do Nostitza list w te słowa: „Jenerale! Ponieważ nie zastawszy mnie, będziesz się zapewne nudzić, pozostawiam Ci cygara, by Ci się czas krótszym wydał.“

Rzeczywiście, gdy Nostitz nadszedł, Szemiot list i cygara mu wręczył i to mój stosunek z Nostitzem jeszcze bardziej zacieśniło...

By się wykręcić od spotkania z nierównemi siłami, parłem naprzód, i dla tego postanowiłem koniecznie przedostać się na Wołyń. Wtedy Sągin, którego rodzina pozostała pod Siemiatyczami, oświadczył, że pragnie powrócić do swoich. Wszystkie przedstawienia moje były bezowocne. Za nim poszedł i Bron. Rylski z 50 młodzieży z pod Siemiatycz. Oddaję im z żalem część broni zabranej w Prużanach, połowę amunicyi i pieniędzy.

— Wracajcie, mówię! Szczęść wam Boże! ja idę naprzód!

Zawrócili, lecz smutny był ich koniec, gdyż nazajutrz spotkali się z oddziałem Rosyan z Kobrynia i wszyscy, wraz z Rylskim i Sąginem na czele, zginęli.

XV.

Tymczasem doszedłem do Lubieszewa Tu dwie drogi się przedstawiały: albo iść na Wołyń, lub też ne Pińszczyznę. Wiadomości, jakie mnie doszły, choć poźniej okazały się fałszywemi, przeważyły, żem poszedł ku Pińskowi. W Pińsku nie wielka była załoga: rota inwalidów, rota piechoty i sotnia kozaków. Miasto, na pozór dobrze usposobione i zorganizowane, gotowe do powstania. Okoliczna szlachta ochocza do boju. Ruszam więc, podchodzę pod Pińsk o 10 wiorst i posyłam nocą do miasta Wołowicza, który znał dobrze stosunki tameczne; piszę list do Lubomirskiego, marszałka szlachty. Wzywam miasto by mi pomogło, gdy uderzę na nie następnej nocy. Było nas 130. Żołnierze w mieście zebrani stanęli za murami soboru prawosławnego. Lubomirski wszakże wręcz odmówił współdziałania, a i miasto, jak się okazało, żadnej organizacyi nie miało. Wyszło do mnie dwóch: Ostromęcki, nauczyciel gimnazyum, i Królikowski, uczeń klasy 7-mej, trudno więc było myśleć o ataku zwycięskim. Tak przebyłem pod Pińskiem dwa dni. Przerzucam się na drugą stronę miasta, na drogę do Słucka i Mińska prowadzącą, na ów kanał królewski i most zwodzony. Tu zatrzymuję sztafetę od naczelnika miasta do gubernatora przesłaną. Z niej dowiaduję się, że za godzinę wysyłają 36 tysięcy, bo się obawiają mego napadu. Czekam przez ową godzinę... Znowu sztafeta, wiozącą pieniądze. Zabieram je i palę most, lecz tem oświetlam wjazd gen. Nostitza do Pińska. Idę ku Słuckowi, rzucam się, to na tę, to na ową stronę drogi, pomiędzy szlachtę, lecz ta była jeszcze w odrętwieniu. Budzę ją, gdzieniegdzie ktoś się z nami łączy, lecz to nie stanowi siły... Mam ze sobą broni 18 wozów, brak tylko ludzi. Nocuję w majątku Lubomirskiego Nad ranem mamy iść dalej. Kierując się ku majątkowi dawniej Radziwiłłów, każę szykować się i zdjąć warty. Był przy mnie oboźnym niejaki Zakrzewski. Idzie z nim dzielny chłopiec, Żukowski, eksklenyk z Janowa. Ściągają warty. Właśnie jednę z nich zajmował Ostromęcki. Poleciłem ściągnąć go do obozu, gdyż za chwilę wyruszamy. W tem strzał... To ów Ostromęcki, nauczyciel, strzela i rani obu: Żukowskiego i Zakrzewskiego, loftkami z dubeltówki, a sam ucieka... Dowiedziałem się następnie, że po dwóch dniach tułaczki wpadł w ręce Rosyan, pomieszany na umyśle, i zmarł w więzieniu.

— Najzupełniej. Chłopem poznańskim zachwycają się w innych dzielnicach już od lat kilkudziesięciu, ale nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jakie ogromne postępy lud ten poczynił w latach ostatnich. Dziś nie dosyć jest powiedzieć o nim, że czytuje książki i gazetki. Dziś trzeba dodać, że wie, co bierze do ręki i wybierać umie. Co krok spotyka się ludzi, którzy doskonale pojmują położenie w parlamencie i sejmie. Niedawno to czasy, kiedy całą zasługą naszych chłopów było, że tłumnie stawiali się na wybory i głosowali, jak im komitet kazał. Dziś pojmują wybornie, o co idzie; dziś przy stawianiu kandydatów trzeba się z ludem liczyć. Zdarzają się między włościanami naszymi genialni agitatorowie polityczni. Swoich dostawią niewątpliwie wszystkich, a czasem zdołają przekonać i kilku „głupich śwabów“, że jak wybiorą niemca, będą większe płacili podatki.

— Czyż jakichś zmian politycznych na naszą korzyść spodziewać się można?

— Mojem zdaniem, na teraz, nie. Ruch, obudzony w społeczeństwie niemieckiem przez naszych wrogów, nie ustanie tak prędko, a dziś jest on tak silny, że rządowi, gdyby nawet chciał, trudnoby było przeciw niemu płynąć.

— Czemże tłómaczyć sobie tę zaciekłość?

— Składają się na to pobudki najrozmaitsze. Niedawno rozmawiałem z jednym z kierowników stowarzyszenia ku obronie niemczyzny. „Wy jesteście narodem wyjątkowym — powiedział mi całkiem szczerze — nie dziwcie się zatem, że się chwytamy w walce z wami środków wyjątkowych. Jesteście jedynym przykładem plemienia, któremu mimo ucisku, przybywa sił. W zwykły sposób rady sobie z wami nie damy. Czuję, że wam się dzieje krzywda. ale innego sposobu nie ma.“ Daleko częściej można się atoli spotkać z poglądem naiwnym i ciasnym. Powodzenie przewróciło Niemcom w głowach. Nie mogą oni poprostu zrozumieć, iż ktoś nie chce skorzystać z możności zniemczenia się i odpycha lekkomyślnie takie dobrodziejstwo.

— Co sądzić należy o nowych prądach w społeczeństwie polskiem w Księstwie?

— Przez jakiś czas jeszcze nie wpłyną one na naszą politykę w Berlinie. Z czasem atoli niejedno będzie się musiało zmienić, gdyż ostateczne zniknięcie warstwy większych właściciciel musi wpłynąć na wyniki wyborów.

— Któż zapełni w takim razie tę lukę?

— Nie sądzę, żeby zwolennicy dawnego nieprzejednanego kierunku, którzy za pomocą drukowanego słowa agitują silnie między ludem, mieli w swem gronie odpowiednią liczbę ludzi zdolnych. Łatwiej jest odgrażać się na zdrajców, niż samemu ułożyć program i przystąpić do wykonania. Korzystniejsze wyobrażenie mam o zdolnościach młodych postępowców poznańskich, którzy są zresztą tylko spóźnionem odbiciem dawnego pozytywizmu warszawskiego. Gdyby to, co dziś naszem społeczeństwem rządzi, zapadło się nagle pod ziemię, nasza młodzież postępowa stanęłaby z konieczności na czele ludu.

— Cóżby zię wtenczas działo?

— To co wszędzie. Przekonaliby się niebawem, że między teoryą a praktyką jest różnica ogromna.

— Ale stosunek z centrum zerwałby się zapewne?

— Jestem przekonany, że nie... dopóki centrum isnieć będzie.

— Czyż może się ono rozwiązać?

— Zależy to wyłącznie od rządu. Niech da szkołę wyznaniową i przywróci klasztory jezuitów, a cały ruch opozycyjny w świecie katolickim osłabnie odrazu.

Taki był przebieg naszej rozmowy o stosunkach poznańskich.

—ski.





Z literatury polskiej.

(Aleksander Sewer. „U progu sztuki.“)

Jak ciała niebieskie, w ustawicznym znajdując się ruchu, krążą w bezbrzeżnem przestworzu — tak też i ideały ludzkości w wszechświecie człowieczego ducha. Ciągłe zmiany są dźwignią, na której spoczywa cały postęp, rozwój i życie — tak w przyrodzie jak i społeczeństwie. Podobnie i w literaturze. I tu nie jaśnieją na horyzoncie jedne tylko i te same zawsze ideały, i tu nawet myśli przesuwają się ustawicznie jak obrazy w kalejdoskopie, bo i literatura żyje. Rzućmy pobieżnie okiem na nasz wiek tylko, a dowodów nam nie zabraknie.

Przez dwadzieścia lat żyjemy okruchami klasycyzmu, tej wspaniałej ducha świątyni, którą zbudował geniusz pięknej Hellady i mądrość Rzymu; dalsze lat 30 wypełnia poezya mistyczna, wyrosła na gruncie patryotycznego bólu, przybrana w wiośnianą szatę romantyzmu; i ta milknie, a z tronu, na którym błyszczały lutnie Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, rzuca dzisiaj na naród cały złoty snop promieni — pióro Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej itd.

Powieść i nowela święcą dzisiaj wiek złoty.

Mnożą się u nas powieści i nowele, wzbogacając literaturę ojczystą, a mając ich dzisiaj całe stosy, coraz wybredniejszem okiem spoglądamy na nie.

Czytelnik bowiem podobny jest do podróżnika, który przejeżdżając przez okolicę martwą i ubogą, z radością odnajduje każdy kwiat, z lubością wsłuchuje się w szum pożółkłych krzewin, kiedy zaś wjedzie w krainę, gdzie majestat przyrody pełnym

---

Ranni zabrali mi kilka godzin czasu, zanim ich opatrzyliśmy. Powieźliśmy ich ze sobą, lecz w drodze trzeba było ich zostawić u jednego szlachcica, gdyż dostali silnej gorączki.

Kołujemy ciągle, wreszcie jednej nocy zatrzymuję się w Borkach, futorze z kilku chat kurnych złożonym i z kilku zabudowań. Noc księżycowa, gwiaździsta. Widno, jak wśród dnia. Miałem dużo wozów i bryk, rozstawiono pikiety. Wszyscy półsenni, odpoczywamy. Godzina 11. Budzi nas strzał pikiety. Nieprzyjaciel idzie na nas, będzie bitwa! W jednej chwili stawiamy wozy w poprzek drogi, tworzymy barykadę, zajmujemy za nią i za węgłami chat stanowiska, czekając spotkania z ręką na cynglu... Z lasu, wężem po dwóch wysuwają się Rosyanie. Były to trzy roty rewelskiego pułku i sotnia kozaków. Kozacy zastępują nam tył, a piechota idzie ku nam. Byliśmy w sile o 7 razy od nieprzyjaciela mniejszej; nie chodziło więc o wygraną, lecz o sprzedanie życia jaknajdrożej. Zaczynają się strzały.

— Chłopcy! wołam, strzelać, mierzyć prosto w piersi, nie spieszyć się!

Strzały w rzeczy samej były celne, lecz i nas przerzedzają. Co chwila ktoś z nas pada, nie jęknąwszy nawet, skutkiem bliskości strzałów.

Reszta walczących tworzy klin i zaczyna się cofać. Kozacy chcą nas otoczyć, lecz ich strzałami zwalamy z koni i dostajemy się do lasu. Tymczasem piechota w futorze rabuje obóz.

Była to ostatnia moja bitwa. Cześć wam dzielni towarzysze z pod Borek! Legliście wszyscy rycersko z okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Cała przestrzeń Pińszczyzny, którą przeszedłem, była jeszcze w uśpieniu. Organizacya tam nie doszła. Wilno i komitety litewskie dopiero działać poczynały. I Ruś zaledwie budziła się z uśpienia. Jedna tylko korona była w części przygotowaną, lecz tam byli ludzie, a broni nie było. Tutaj zaś była broń, a niebyło ludzi przygotowanych do boju.

Przeszedłem taką przestrzeń, jakiej żaden z oddziałów nie przebył. Kręciły się one zazwyczaj w promieniu nie wielkim, póki ich nie rozbito, nie rozumiejąc zadania, jakie ruch nasz mieć był powinien... Wszystko to już minęło i powtórzyć się, daj Boże, nie powinno. Kraj inną drogą zdobyć musi udzielność. Młodsze pokolenie tę drogę, pracując nad swem odrodzeniem, wynajdzie...

Uniknąwszy pogoni, wpadliśmy do lasu, i do majątku Obuchowicza, potem przez głębie błót Pińskich docieramy do brzegu Prypeci, do majątku Antoniego Jeleńskiego. Tu nas chłopi całą gromadą otaczają, wrogo przeciw nam usposobieni. Musieliśmy sobie bronią torować drogę! Dowiaduję się, że w Turowie, u Młyńskiego, ma się odbyć nazajutrz zjazd szlachty. Ruszam z jednym z towarzyszów do Turowa, pozostawiwszy resztę gromadki na noc u rządzcy.

Zastaję tam właściciela majątku, byłego oficera ułanów, Młyńskiego. Miał właśnie jakiś zatarg z mieszczanami. Wszyscy prawosławni. Młyńskiemu zbywa na odwadze. Siada na koń i ucieka. Następnie, jak się dowiedziałem, przystał do oddziału X. Mackiewicza i wzięty w niewolę — rozstrzelanym został.

I moja również fatalna wybiła godzina. Chłopstwo z popem na czele otoczyło mnie i trzymało przez kilka godzin, aż do przybycia dowódzcy rosyjskiego, Albertowa, syna gubernatora z Płocka. Widząc niepodobieństwo oporu, poddałem się.

Przyznać muszę, że Albertow obszedł się ze mną po rycersku, a że w tej chwili przybył i adjutant Nostitza, który po bitwie w Borkach wrócił do Pińska, przeto urządzono zaraz kawalkatę, w ośm wozów. Wsadzono mnie na jeden z nich i pod konwojem kozaków i żołnicży odwieziono w czwał do Pińska.

Tu pierwszy raz osobiście spotkałem się z Nostitzem.

Wszedł do pokoju, gdzie zebrało się wielu oficerów, przyglądających mi się z ciekawością, i przemówił po rosyjsku do mnie w te słowa:

— Panie R. szanuję Wasze mestwo. Podałbym wam zaraz rękę, lecz ręce Wasze oblane krwią moich rodaków. Podnieśliście bunt przeciw naszemu cesarzowi i narodowi. Jeśli wam to będzie przebaczone, zostaniemy przyjaciołmi...“

Zapytawszy, czym nie zmęczony i nie głodny, (36 godzin byłem w pochodzie)

przyświeca blaskiem — podziwia już tylko co wspanialsze krajobrazy, co uroczystsze okolice.

Tak i czytelnik.

Co przemawia za pięknością w powieści? Czy może język — czasami dźwięczny jak struny harfy anielskiej, jak melodyjny chorał pieśni słowiczej, czasami znowu przemawiający do nas piorunowym odgłosem burz rozszalałych, tak że piana wściekłości zdaje się tryskać z każdego słowa? Czy intryga zawiła, jak gmach labiryntu? Czy postać bohatera, wymarzona wśród przełomów i walk najrozpaczliwszych?

Zapewne, — są to czasami prawdziwe perły, rozsiane talentem pisarza, lecz nie w ich blasku dostrzegamy to, co nam powieść czyni tak miłą i powabną.

Największą zaletą powieści jest, by wiernie odźwierciadlała świat, by inni czytając ją przechodzili niejako przez cząstkę życia ludzkiego, by inni w niej widzieli człowieka, podobnego choć w części do Szekspirowskich postaci, w których żyje promień wieczystej prawdy. Zaletę tę w wysokim stopniu posiada jedna z najnowszych powieści Sewera pt: „U progu sztuki“, drukowana w „Gazecie Lwowskiej“ i „Kraju.“

Źródłem natchnienia dla Sewera była tu uboga buda, aktorskiej prowincyonalnej trupy galicyjskiej; z życia i stosunków, jakie panują po teatrach prowincyonalnych, wysnuł Sewer swą powieść, która jest prawdziwą ozdobą naszej literatury.

Umysł jego wniknął w tajniki moralnej nędzy, która tu jest wszechwładną królową, — lecz równocześnie dostrzegł, że z poza dziur tej nędzy przyświeca gdzieniegdzie jaśniejszy promień idealizmu. Kałuże moralnego błota: zazdrość, chciwość, wyuzdanie, zapoznanie godności ludzkiej, — te wady, co wyglądają z każdego kąta teatralnej budy, odmalował autor bez przesady wiernie i dobitnie, przesuwając przed oczyma czytelników szereg postaci, które już nie są rzemieślnikami, ale wprost pijawkami swojego zawodu.

Do nich, badając ich wspólne pożycie, można zastosować owe słynne zdanie angielskiego fiilozofa Hobbesa: „homo homini lupus“; na nich patrząc odwracamy się ze wstrętem, jak gdybyśmy zobaczyli ludzi wrzodami okrytych.

Jest to jednak tylko jedna strona medalu. Sewer nie zapomina i o odwrotnej; wśród tej zgnilizny moralnej, jaka się rozpościera na scenie jego teatru, wieje prąd, któremu nie brak idealizmu, poświęcenia i miłości dla sztuki.

Główna bohaterka powieści Dziunia ukochała sztukę całą duszą, i jak jaskółka potrzebuje ciągle powiewu wiosny i czaru lata, tak i ona żyć nie może... bez sceny — bez teatru! Tam w quasi przybytku Melpomeny jej życie; — horyzont jej wiedzy mały i szczupły — nie wyjrzała jeszcze poza zbutwiałe deski ciemnej, prowincyonalnej sceny, z której nie sztuka, lecz parodya sztuki, ubrana w czezwoną czapkę z dzwonkami przemawia, oklaskiwana przez rozbawione tłumy, — a jednak czuje swą wyższość nad wiecznie głodnym i spragnionym motłochem aktorów — pajaców, bo u niej dwie dźwignie aktorskiego zawodu są zespolone: talent i zamiłowanie.

Widzimy tu artystkę u progu sztuki, kołatającą do jej świątyni, cierpiącą, kształcącą ducha wśród walk i przełomów życiowych, zbrojną w pancerz idei i dla tego zwycięzką.

Prawdziwym junakiem sceny jest Janek, młody aktor, idący na przebój przez życie, — zawsze rozpromieniony i pełen zapału, nieczuły na głód i niedostatek, spragniony tylko... gry!

Do tej garstki można zastosować słowa, które Szekspir wkłada w usta Juliusza Cezara:

„. . . . ja stały jak gwiazda polarna,
„Która pod względem swej niewzruszoności
„Na firmamencie nie ma sobie równej.“

Najpiękniej przedstawia się tło powieści, — barwne i dobitne skreślenie doli aktorskiej. Sewer okazał tu gruntowną znajomość stosunków, umiał je odczuć i zrozumieć, jak rzadko który z pisarzy.

To też bije z jego powieści żywe dla tych tułaczy współczucie, którzy niegdyś pozbawieni niemal miana człowieka, dziś są przez wielu jeszcze ścigani wzrokiem pogardy.

A przecież życie ich raczej na litość zasługuje, niż na wzgardę.

Wielu z nich spieszyło i spieszy na scenę z wiarą młodzieńczą i z zamiłowaniem — lecz głód, niedostatek, poniewierka, lekceważenie, jak nienawistne gromy strzaskały im skrzydła zapału i rozwiały wiośniane marzenia, jak mroźny wicher, wiejący od północnego bieguna, w którego szumie wszystko zamiera. Bez nadziei lepszego jutra występują na scenie, znękani, pędzeni głodem, jak niegdyś gladyatorzy biczem mastigoforów, — i śmieją się chwil kilka przed publicznością, by potem za kulisami godzinami wylewać łzy bólu i żalu do świata.

Życie ich to rzeczywistość losu mitycznych cór Beleusa, czerpiących wodę w wiadra bez dna; — dola ich to dola Syzyfa, toczącego skałę, na górskie szczyty ciągle spadającą....

Gelius w swoich „Nocach Atyckich“ (VII-5) opowiada o aktorze Polosie, który najlepiej odtwarzał postacie Sofoklesowskich tragedyi. Artysta ten występował raz w roli Elektry — krótko po zgonie syna, którego kochał nad życie. Doszedłszy do miejsca, gdzie Elektra z rąk brata bierze urnę z mniemanemi jego popiołami i wypowiadając owe smutne słowa:

„O pomniku najdroższego dla mnie z ludzi. O jedyny Szczątku życia Orestesa! „Jakże wbrew nadziejom wszelkim nie takiego witam ciebie, jakiegom cię pożegnała! „Dzisiaj bowiem w nic zgasłego obejmuję „ręką drżącą, a z domum cię, bracie miły, „wyprawiła w blasku życia!“

tak się przejął losem swojej bohaterki, tyle spowinowaconej z własnym jego cierpieniem, — że głos mu naprawdę drżeć począł, strumień łez puścił się z oczów, mowa się ścięła i uczucie naturalne wzięło górę nad sztuką. Wrażenie w tej chwili, jak pisze Gelius, było tak wielkie, że razem z nim do łez rozczuliła się cała publiczność.*)

Wieluż to Polusów błąka się u nas, z bólem krwawiącym serce, przykutych do nędznej teatralnej budy — jak Prometeusz do skały wyrokiem Jowisza — i cierpi życia niedolę.

To właśnie dola artysty — łzawa i bolesna — znajduje swój wierny i wdzięczny wyraz w powieści Sewera i dla tego nie waham się jej nazwać prawdziwą epopeją aktorskiego życia u progu sztuki.

Alfred Brandowski.

---

wezwał mnie do drugiego pokoju, pozwolił się umyć i rozpoczął rozmowę o losach naszego oddziału. Otoczyli nas oficerowie i zaczęliśmy rozprawiać o strategii wojennej, o szczegółach naszej wyprawy.

W Pińsku przebyłem dni kilka. Ztamtąd gen. Nostitz osobiście odwiózł mnie do Brześcia i zdjąwszy moją fotografię, polecił odwieźć mnie do Warszawy.

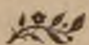
Tutaj ze stacyi kolei w karecie, otoczony kawaleryą i piechotą, odwieziony zostałem do cytadeli, jako jeden z pierwszych dowódzców powstania, ujętych z bronią w ręku.

Tu nastąpiła komisya śledcza pod przewodem Witkowskiego. Ogłoszony mi wyrok śmierci zamieniony został skutkiem wstawienia się Nostitza, na zesłanie na życie całe do Syberyi. 14go sierpnia 1863 wywieziono mnie z cytadeli. O komisyi wojennej, o Syberyi i innych epizodach ruchu powstańczego, o szkole wojskowej w Cuneo, jeśli siły pozwolą, opowiem innym razem...

Po latach trzydziestu pięciu, rozgrzeszony z win młodości, odzyskałem wolność i odwiedziłem gen. Nostitza, obecnie już staruszka, dożywającego dni swoich w dobrach własnych na Ukrainie.

Powitał mnie z niekłamaną radością i wzruszeniem....

KONIEC.





Zygmunt Kaczkowski.

Na cmentarzu w Montmorency, gdzie jest pochowanych wiele kości jego współziomków, spoczął na wieki jeden z naiwiększych talentów literackich, jakie wogóle nasza literatura wydała, powieściopisarz, którego powieści rozrywano przed laty 40-tu z rąk do rąk, autor „Murdeliona“ i „Rycerzy Olbrachtowych“, śp. Zygmunt Kaczkowski. Zgasł jeden z najpotężniejszych umysłów, zeszedł do grobu powieściopisarz, który, jeżeli nie zajmuje najwybitniejszego stanowiska, to onego czasu wywierał wpływ i miał popularność, dające się chyba z wpływem i popularnością Kraszewskiego porównać, a chociaż potem zamilkł, nie popadł jednakże nigdy w zapomnienie.

Jest dziwny smutek, może nawet pewien tragizm w tej śmierci, budzący refleksye nad świeżą mogiłą. Kaczkowski od długiego czasu ciężko chorował i pasował się z śmiercią, u nas jednakże nie wiedziano o tem wcale; żył w Paryżu jako starzec sędziwy, a wiele osób oddawna miało go za umarłego; był sławny i bogaty, a na miejsce wiecznego spoczynku powiodła go garstka, złożona z osób kilkunastu, które jeszcze może w większej części z przypadku się tam znalazły. Co się na to złożyło, nie dzisiaj pora rozstrząsać.

Literatura nasza poniosła ciężką stratę: piśmiennictwo utraciło jednego z tych kolosów, który je dźwignął i który dziełami swemi wystawił sobie monumentum aere perennius. Obok Korzeniowskiego i J. I. Kraszewskiego, wielkiemu talentowi Kaczkowskiego zawdzięczać należy rozwój powieściopisarstwa u nas, on to w przeważnej części przyczynił się do wytrącenia z rąk ogółu czytającego romansideł francuskich, podając mu w zamian strawę swojską, posilną i karmiąc chlebem swojego ducha umysły wszelkiego wieku i stanu.

Kaczkowski, jako powieściopisarz i jako człowiek przekonań był przedstawicielem środka. Fantazyę miarkował w nim chłodny rozum, który stopniowo nad nią brał coraz większą przewagę. Przekonaniom skrajnym, zarówno rewolucyjnym, jak arystokratycznym, stanowczo niechętny, rozmiłowany w przeszłości, jako powieściopisarz przedewszystkiem

*) Patrz Gellins „Noce Attyckie“ i Dr. Lewesstama „Historya literatury powszechnej“.

historyczny, nie idealizował jej jednakże, a w kreśleniu swoich postaci poprzestawał raczej na charakteryzowaniu ich za pomocą rysów zewnętrznych, niż subtelnych zacieka ń się filozoficznych.

„Szlacheckość“ w dawnem rozumieniu z wszystkiemi jej zaletami i wadami była najznamienniejszym rysem psychologii historyka szlachty sanockiej. Kaczkowski odtworzył dla tego tak doskonale tych junaków bez „spójni duchowej“ dla tego pisał z takim rozmachem i animuszem rycerskim, bo był sam nie tylko z pochodzenia, ale i z usposobienia nawskroś szlachcicem sanockim. Jako szlachcic „wioskowy“ stał pomiędzy magnatami, a szaraczkami i nienawidził magnatów, zaś szaraczków lekceważył.

Na stworzenie takiej, a nie innej postaci z Kaczkowskiego, złożyło się jego pochodzenie, otoczenie, w jakiem wzrósł, epoka, w której wystąpił na arenę publiczną.

Pochodził ze szlachty sanockiej, a urodził się r. 1826 w Bereźnicy, czy w Kamionce Strumiłowej i od najmłodszych lat zwracał uwagę na siebie objawiającemi się w dziecku wielkiemi zdolnościami. Dbały o prawdziwy rozwój swojego syna ojciec wykształcony powierzył go opiece dwóch nauczycieli, śp. ks. Pawła Żegestowskiego i Józefa Niklewicza, namiętnego wielbiciela poezyi. To zamiłowanie i rozkochanie się w poezyi nauczyciela, wywarło niewątpliwy wpływ na całe dalsze życie Zygmunta, a opowiadania babki staruszki o dawnych dziejach szlacheckich, któremi nieraz kołysała go do snu, dostarczyły mu później wątku do niejednej głośnej powieści.

Po ukończeniu gimnazyum, które przebiegł szybko, a gdzie kolegował z Zacharjasiewiczem, Ujejskim i innymi, wstąpił w 16 roku życia do uniwersytetu na wydział filozoficzny, po którego ukończeniu przeszedł na prawo. Tutaj wszedł w styczność z kołami literackiemi i już w r. 1845 w „Dzienniku mód paryskich“ tak wielką w dziejach naszej literatury rolę odgrywającym, drukował pierwsze swoje prace wierszem i prozą.

Właściwy zawód powieściopisarski zaczął Kaczkowski od współczesnej powiastki „Kato“, która przeszła prawie bez wrażenia i od historycznego opowiadania „Bitwa o chorążankę“, które od razu postawiło go na takim stopniu popularności, że najwybitniejsi autorowie prześcigali się w recenzyach, pochwalnych o jego pracach. To zachęciło młodego autora do dalszej pracy.

I tak w szybkiem tempie poszły opowiadania historyczne, należące do cyklu „Powieści ostatniego z Nieczujów, a nadto i inne: *Annuncyata, Bajronista, Dziwo-żona, Mąż szalony, Junacy, Swaty na Rusi. Pan Bal, Żądza dziedziczenia. Murdelio, Pierwsza wyprawa pana Marecza, Starosta Hołobucki, Sodalis Marianus, Wnuczęta*, — oprócz tego pomieścił w roku 1851 w „Gazecie Warszawskiej“ *Braci ślubnych*, a ostatnia jego praca przed kilkunastoletniem zamilknieniem *Rozbitki* — oto nie cały wykaz powieści, jakiemi nas obdarzył wielki jego talent.

Wśród tego szeregu utworów, znajduje się arcydzieło *Murdelio*, którego długi czas wielu za najlepszą powieść polską uważało, a który i dziś wobec najświetniejszych tego rodzaju utworów nie blednie.

Pod koniec jednak tego okresu objawiła się w talencie Kaczkowskiego stanowcza dekadencya i następuje też długa przerwa w działalności literackiej Kaczkowskiego. — Prócz wyczerpania powodem były wypadki w czasie powstania, kiedy go posądzono o związek z policyą i skazano na banicyę społeczną. Długi czas spoczywała ta plama na Kaczkowskim, bez czyjejkolwiek opozycyi, aż dopiero przed paru laty lwowski *Kwartalnik historyczny* podniósł bardzo poważny głos w jego obronie.

W roku 1864 opuścił Kaczkowski kraj i przeniósł się do Wiednia, a później do Paryża, gdzie się stał politykiem i finansistą, nie przestając być pisarzem.

Epoka od r. 1871 do 1882 była dla niego najprzyjemniejszą w życiu; w pogadankach ze znajomymi najchętniej wracał do roli, jaką odegrał w obec Thiersa po r. 1871 z okazyi wypłaty Prusom owych sławnych 5 miliardów. Niemcy żądały złota. Ilość monety złotej, pozostającej w obiegu we Francyi, znacznie się zwiększyła od czasu, kiedy złoto stało się wyłącznym środkiem wymiany międzynarodowej, ale trzebaby było ogołocić całą Francyę z monety złotej, aby zaspokoić żądania zwycięzcy. Wówczas Kaczkowski pojechał do Wersalu i przedstawił projekt założenia syndykatu zagranicznych poręczycieli długu francuskiego. Projekt przyjęto; on pierwszy podpisał umowę jako przedstawiciel Banku Północnego w Hamburgu i Francya zawdzięcza to Kaczkowskiemu finansiście, że spłaciła część haraczu w e k s l a m i banków n i e m i e c k i c h. Nagrodą był mu za to krzyż legii honorowej, udzielonej dzięki osobistej interwencyi Thiersa.

Interes, jednakowoż, na którym grubo zarobił, był „Bank rzymski“, który założył na spółkę z Okszą-Orzechowskim i którego interesami tak świetnie umiał pokierować, że akcye puszczone w obieg po 275 frank. w krótkim czasie osiągnęły cenę 780 frank.

W okresie tych finansowych operacyi nie przestał Kaczkowski, jak już nadmieniono, być pisarzem i politykiem. Późno wprawdzie, bo dopiero w roku 1878 odezwał się, wydając *Grafa Raka*, powieść, której społeczeństwo nie zrozumiało, i która wcale nie dowodziła, że artysta w niej odżył, chociaż autor sam cenił ją wysoko, jak to wynika z listu pisanego do „Kuryera Warszawskiego“ w r. 1890. Dopiero wystąpienie na arenę literacką Sienkiewicza obudziło w Kaczkowskim, który jeden z pierwszych napisał ich krytykę, zazdrość, przynoszącą mu zaszczyt tylko i postanowił przypomnieć się czytelnikom polskim. Napisał też *Abrahama Kitaja* i *Olbrachtowych rycerzy*, imponujący doskonałością utwór, w którym pod niejednym względem i swojego „Murdeliona“ i powieści Sienkiewicza przewyższył.

Poprzednio jeszcze na szalę dyskusyi politycznych rzucił *Tekę Nieczui*, jedne z najznakomitszych satyr politycznych, wymierzoną przeciw stańczykom i ich teoryi abdykacyi narodowej.

Ostatniemi dziełami Kaczkowskiego są: wydany bezimiennie po niemiecku „List otwarty do Bismarcka“ i drukowana w odcinku N. Reformy powieść na tle 1846 roku: „Święta Klara“. Oprócz tego została prawdopodobnie w tece praca jeżeli nieskończona, to na ukończeniu będąca, „ułożona“ już w roku 1890, skutkiem zachęty przez redaktora „Kuryera Warszawskiego“. Tak przynajmniej trzeba sądzić z listu Kaczkowskiego, pisanego w roku 1890 do tegoż „Kuryera“: „Kończę wszakże uwagą, że mówimy tu o rzeczach, które są jeszcze w powietrzu. Powieść, o której mowa, jest tylko ułożona, ale wcale nienapisana. Wprawdzie główną robotą jest ułożenie, a napisanie tylko prawie mechanicznem przelaniem gotowego materyału, ale przy moim stanie zdrowia i rozmaitych innych zajęciach sam jeszcze nie wiem, kiedy będę się mógł zabrać do tej roboty“.

Kaczkowski zostawił bardzo znaczny majątek, bo ceniony na 4 miliony franków, z którego (smutne!) ani okruszyny nie udzielił dla swego społeczeństwa, lecz zapisał go w całości Francuzce, długoletniej swej towarzyszce, poślubionej przez niego na parę miesięcy przed śmiercią. Oprócz tego poczynił mniejsze legata. Zapisał towarzystwu historycznemu we Lwowie swoją bibliotekę i prawo własności dzieł swoich. Reszta książek i trochę pamiątek ma być rozdzieloną pomiędzy szkołę Batignolską, a muzeum w Rapperswylu.

Zygmunt Kaczkowski był człowiekiem olbrzymiej pracy. O jakiejkolwiek było przyjść godzinie, zastawało się go zawsze zajętym. Czytał prawie wszystkie dzienniki galicyjskie; do ostatniej godziny czytał bardzo wiele. Nie było książek, albo ciekawszego artykułu, w języku polskim, któryby przeoczył.

Dwóch rzeczy tylko nie był ciekaw: teatru, od katastrofy w Ringteatrze, gdzie zginął bratanek jego, którego uważał za syna, ani noweli. Na definicyę noweli, jako fotografii pewnego momentu psychologicznego odpowiedział: „Ależ fotografia nie jest dziełem sztuki“....

Dom Kaczkowskiego był całkowicie francuski — żona jego nie władała innym językiem — ale duch w jego domu był szczerze polski. Kaczkowski był w stosunkach prywatnych łatwy i przyjemny. Świetny „causeur“, umysł wszechstronnie wykształcony, bardzo dobrze wychowany i obyty w świecie, umiał być nadzwyczaj miłym towarzyszem. Przystojny i wytworny nawet w wieku sędziwym, robił ten nieprzyjaciel „panów“ wrażenie wielkiego pana.

Nad grobem jego w Montmorency płakała wdowa bezdzietna i garstka współziomków, do których imieniem Akademii Umiejętności przemówił dr. Korzeniowski.

Zgasła pierwszorzędna gwiazda na niebie literatury, a nad jej utratą płaczą wszyscy, którzy tę literaturę kochają. —



Zofia Kowalewska.

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

(Ciąg dalszy).

W tym świecie pełnym doniczek rezedy i normalnych pospolitości, przedziwną, egzotyczną była istotą. Wszystko w niej było nieproporcyonalne — zarówno drobne, chude ciało, jak i duża głowa, z której bił słodki, ciężki, upajający zapach jej geniusza. Czyż nie stała na honorowem miejscu pod świecznikiem, pośród modnych pisarzy i myślicieli ówczesnych. i czyż nie chorowała, żądając czegoś jeszcze lepszego? I nerwowe kwiecie jej ducha pokrywa się warstwą rdzy coraz grubszą i cienka łodyżka, na której zawisła, pochyla się coraz więcej ku owemu wielkiemu źródłu ciepła, pełnemu łaski dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych, tylko nie dla niej!

Dlaczego? Czemu nie doznala tych rozkoszy, które z ręki mężczyzn na najpospolitsze spływają kobiety?

— Była taka nieładna! odpowiadają dyskretne jej wielbicielki.

Przepraszam, wiemy dobrze, iż niekoniecznie najpiękniejsze kobiety najsilniej bywają kochane, że mężczyzna najgoręcej otacza tkliwością te właśnie istoty, którym ma coś do przebaczenia. Barbey d'Aurevilly, największy piewca kobiet, pewnik ten sformułował w nieśmiertelnych strofach.

— Była za stara, tj. zestarzała się zbyt wcześnie — objaśniają usłużne wielbicielki.

Ależ to dzieciństwo! Ona umarła w 40 roku życia. W tym wieku każda paryzka „grande mondaine“ zbiera największe hołdy;

co zaś do przedwczesnego zestarzenia się, proszę zważyć, że kobieta genialna nie starzeje się, jak nauczycielka wyższych szkół panieńskich, że chora, zniszczała tuberoza, pachnie słodziej, silniej, aniżeli białe jej pękate siostry.

— Żądała za wiele! wyrokuje pani Edgren Leffler, która wyszła za mąż w tym samym wieku, w którym Zofia umarła. I autorka ta całą swoją kanciastą książkę o niej opiera na pewniku, że zbyt wiele żądała od miłości.

Proszę! A czyż to nie te właśnie kobiety otrzymują najwięcej, które najwięcej żądają? Wciąż tylko wymagać — oto zasada większej części pań z towarzystwa. I na tej pewnej zasadzie żadna jeszcze nie straciła!

— Miała wszystko, czego zapragnąć może człowiek! — powiada w toaście na jej cześć wzniesionym, dobry poeta, ojciec Jonasz. — Posiadała geniusz, sławę, stanowisko, swobodę, pierwsze miejsce na polu walki o rozwój ludzkości. Lecz ponieważ miała to wszystko, niczego nie ceniła. Jak mała dziewczynka, wyciągała rączkę, prosząc: „Ach, dajże mi tę pomarańczę!“

Powiedziane to jest bardzo serdecznie i rozumnie. Ojciec Lie był jedynym człowiekiem, który widział w Zofii to, czem była przez całe życie. Pozostała zawsze małą, niedojrzałą dziewczynką. Ale, kochany ojcze Lie, czyżby miłość miała w oczach twoich wartość pomarańczy?

Nie, w ten sposób niczego się nie dowiemy. Są to wszystko zbyt liche, mieszczańskie objaśnienia. Przyczyna tkwi głębiej, ma podstawę więcej organiczną, jest w silniejszym stopniu wyrazem cierpienia epoki, aniżeli sądzą naoczni świadkowie jej życia i taka nawet przychylna, rozumiejąca biografka, jak Ellen Key. I jak Kowalewska typowym jest znakiem najpoważniejszych emancypacyjnych zabiegów kobiecych i najwyższej duchowej działalności niewieściej — tak samo życiem swojem wyjaśnia typowy proces różniczkowania się kobiety w naszem stuleciu, zaświadcza, co w bolesnym procesie tym kobieta zatraca, a co zachowuje dla ukształtowania typu przyszłości.

Ona, której czar osobisty był tak silny, jak twierdzą wszyscy, którzy ją znali, zachwycała swojem gorącem poddawaniem się nastrojowi chwili, nie działała na mężczyzn tak, jak działają o wiele niższe, zimniejsze, puste kobiety dla tego, że nie posiadała rutyny w sztuce przyciągania. Rutyna to jak świat stara i przywykli do niej mężczyźni, odkąd z kobietą mają do czynienia. Mężczyźni — najwrażliwsi nawet, najbardziej rozwinięci — na tym punkcie odgadywać nie umieją. Starano się przecież o to usilnie, aby przychodzili od razu i zawsze do gotowego. Zofia nie nęciła, gdyż pewien rodzaj cechującej ją dziewiczości nie pozwalał jej rozpoznać wstępnych układów miłości, gdyż miała w sobie pewne szlachectwo duszy, będące nabytkiem dla typu nowego i pewien brak instynktu, który odziedziczyła może, lecz zatraciła.

Zofia należy do gatunku kobiet, które wypłynęły dopiero w drugiej połowie naszego stulecia, a są tak liczne, że stanowią typ epoki. Tworzą taką sprzeczność z dotych czasowem pojęciem o kobiecie, że wydają się niemal jakąś formą przejściową. A jednak jest to najlepszy materyał kobiecy, jakiego wiek nasz dostarcza. Są to te kobiety, które nie chcą rozpoczynać życia od spełniania powołania swego, które w młodości swojej uważają inne zadania za ważniejsze od obowiązków żon i matek. Ogólne o nich mniemanie jest takie: „nie dbają o małżeństwo“ — co w przekładzie większej części mężczyzn brzmi: nie nadają się do małżeństwa. Mężczyźni trzymają się tedy stada gęsi, spędzanych corocznie na targ i kroczących ku powołaniu swemu z głośnem gęganiem. Wprawdzie potomstwo takich ojców i matek wykazuje najminimalniejszą miarę zdolnej do rozwoju inteligencyi, lecz tworzy większość, słuszność zaś bywa zawsze po stronie większości. Dawniej rodzice jednako usiłowali powydawać za mąż córki mądre i głupie; obecnie przeznaczają „dobre głowy“ do nauki do zawodów, sprzyjających celibatowi, te zaś, które „ciężko pojmują,“ wyprowadza się na targowisko małżeńskie. Podział ten stał się już zasadniczą podstawą ekonomii mieszczańskiej. Córki, „mogące pracować na siebie,“ otrzymują „edukacyę,“ zaprawioną częstemi przymówkami o tem, ile to rodziców kosztuje; te, które „pracować na siebie nie mogą“ dostają niezbędną wyprawę i w ten lub inny sposób — męża. Pierwsze — to „dobre głowy,“ drugie — to „poczciwe kobietki;“ przyrodzony zaś ludziom zmysł sprawiedliwości, rozdzielającej dobra doczesne, strzeże linii granicznej, ściśle wyznaczonej między dwoma tymi gatunkami kobiet.

Że powstał ten rys typowy, tak dobrze oświetlający duch naszego czasu, winne są i same owe wybitniejsze kobiety. Pierwsze zaczęły wyosabniać się, pierwsze jęły przyzwyczajać ograniczonego drobnomieszczanina do nowego o kobiecie pojęcia. Potrawy, ustawione dla nich na stole życia, odtrąciły, sięgając po inne, które podobnie jak wino i papierosy, w mniemaniu powszechnem, dla mężczyzn jedynie były przeznaczone. A ponieważ okazało się, że zdają swoje egzamina bez szwanku, równościowy prąd naszego wieku podchwycił objaw ten, jako znak równości mężczyzny i kobiety, obwieścił żądanie równych dla obu płci praw i jednakość ich mózgów. O innych składnikach istoty ludzkiej, które przenigdy nie będą równe, ani jednakie, nie mówiono, ponieważ o istocie rzeczy w ogóle mówić nie wypada, a materyalistyczny wiek nasz nie sięga nigdy na dno rzeczy, bo ono jest głębią.

Czyż istotnie uzdolniona, rozwojowi podatna kobieta zapomniała, że ma z góry wyznaczone powołania, że niewolnicą jest praw odwiecznych? Czyż najlepsze kobiety miałyby istotnie ten groźny popęd do wykobiecania się? Tak sądzą powszechnie. Lecz na sąd taki nie wystarczyło nawet głupoty kobiet — trzeba było, aby stworzyła go bezmierna głupota mężczyzn. Największa ilość tych kobiet, które wybiły się ponad ogół niewieści, we wczesnym wieku odznaczała się rozbudzoną, w stosunku do mężczyzny, zmysłowością. Geniusz kobiecy naszego stulecia, Zofia Kowalewska, w dziewiątym roku życia tak gwałtownie odczuwała zazdrość z powodu innej małej dziewczynki, którą się młody jej, przystojny wuj więcej niż nią zajmował, że siedzącą na kolanach owego pana rówieśniczkę znienacka ukąsiła do krwi w ramię. I nie było to objawem złośliwości dziecinnej, bowiem od tej chwili uczucie Zofii dla wuja zamieniło się na skryte, chłodne rozczarowanie.

Rozczarowanie! Tak, gdyż kobiety takie, dziećmi będąc, przeczuwają już poniekąd, iż więcej są warte od towarzyszek przeciętnych. Silne ich popędy mają czujne oko i dobrą pamięć. Nie zakochają się, jak zwykle młode dziewczęta, w zupełnie zewnętrznych przymiotach lub w pierwszym lepszym mężczyźnie, który się nasunie. Pragną połączenia się z tym, który jest czemś więcej od nich samych, i nie zapominają upakarzającego doświadczenia, jakiego kiedykolwiek zaznało ich uczucie. A gdy po gorączkowych wzburzeniach najwcześniejszej młodości, nastaje chwilowa cisza, natenczas budzi się w nich inny popęd, pragnienie wydobycia z siebie wszystkich utajonych darów, całkowitego objęcia w posiadanie tego, co mają w sobie, zanim pójdą tworzyć z siebie nowe pokolenie. Po fizycznym następuje potrzeba umysłowego i psychicznego rozwoju. Zanim wstąpią w życie, chcą dojrzeć umysłem i duszą, zdobyć pełnoletność duchową, zawładnąć jestestwem swojem całkowicie, — i ten popęd do samoistnego bytu, któremu nie utorowano jeszcze drogi, sprowadza je prawie zawsze na manowce „kształcenia się.“

A cóż dopiero, gdy tkwi w jednostce uzdolnienie określone, potężne, które pędzi ją i popycha? Nawet Kowalewska nie stąpała po utartej, wyczerpującej drodze zwykłych kobiecych studyów. Wyposażona wyjątkowo hojnie, w niepospolicie pomyślnych żyjąc warunkach, znajdowała drogi dobre, które ją szybciej niż inne kształcące się dziewczęta, doprowadzały do celu. Mało która zaczynała w siedemnastym roku, jak ona, naukę pod opieką życzliwego mężczyzny, pod serdecznym kierunkiem wielkich uczonych; mało która doznała tyle co ona grzeczności i poparcia, skończyła naukę w kwiecie wieku, w 24-tym roku, obsypana odznaczeniami, mało która miała przed sobą takie bogate, pełne życie.

Lecz owe potrawy, któremi nęciła ją zastawa życia, nie były przeznaczone na posiłek. Po sześciu latach wytężonej pracy otrzymała w darze niezmierne fizyczne i duchowe znużenie, długotrwałą potrzebę wypoczynku, wstręt do nauki, dla której tyle zrobiła. Przepracowała się, jak większa część dziewcząt, gotujących się bądź do egzaminu nauczycielskiego, bądź do — uniwersyteckiego. Wyczerpała się wskutek tej utkwionej w jeden punkt pilności, przy której nie ogląda się ani w prawo ani w lewo i jest się niby łupem nieprzerwanej hypnotycznej suggestyi. Przy takim stanie jednostronnego wytężenia, wszystkie inne siły są ubezwładnione, wszystko inne milczy, a z jękiem pracuje tylko organ — pamięć. Wśród takiej pracy śpią też w kobiecie zmysły, lub odzywają się w ogólnem rozdrażnieniu.

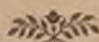
Tak było i z Kowalewską. Co prawda zanim wpadła w szał roboczy Weierstrassa, fikcyjny jej małżonek niejedną musiał znieść przykrość. Nie dość, że używała go na posyłki, które spełnia zazwyczaj lokaj, ale odwiedzała go w jego kawalerskiem mieszkaniu, urządzała wspólne podróże i wycieczki, wogóle wtedy tylko w dobrym bywała humorze, gdy jej nie odstępował. Ale on tego nie rozumiał. Zgodził się dobrowolnie na rolę męża pozornego w obec niedojrzałej, małej dzieweczki i żeby utrzymać *status quo* sumiennie, szanował szaleńcze ideje owej epoki, jakie owładnęły główkę tej dzieweczki. Oczywiście i ona samej siebie również nie rozumiała. Zresztą nie jej było rzeczą rozumieć się w podobnej sytuacyi. Jednakże po każdem sam na sam z nim bywała rozdrażnioną, kwaśną, rozczarowaną i znacznie już później po jego zgonie, mawiała szyderczo: „Tak doskonale umiał się obejść bezemnie! Byleby miał swoje papierosy, szklankę herbaty i książkę — to mu wystarczało!“

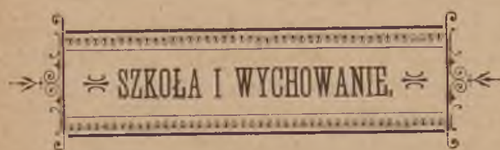
Kowalewski, tłómacz „Życia ptaków“ Brehmsa i innych popularno-naukowych dzieł, należał do tych przedstawicieli rodu męskiego, którzy od najmłodszych lat uważani są za „wzory.“ Kuł zawzięcie, nie miał potrzeb, czynił zawsze, co należało i dobrze szedł w zaprzęgu. Lecz nie był ani indywidualnością wybitną, ani mężczyzną dla kobiety. Okazało się to od razu, gdy przystał na małżeństwo pozorne, zważyć zaś należy, że ślub w ich wyznaniu wiąże na całe życie. Dla uniknięcia powodowanych przez Zofię częstych przerw w nauce, przeniósł się do Jeny. Wtedy stosunki ich rozluźniły się. W Berlinie, gdzie jak wspomniałam, Kowalewska mieszkała z koleżanką, zdawała

się go wstydzić poniekąd. Przychodził po nią wprawdzie do Weierstrassa, nie przedstawiała go jednak nigdy i nie zdradzała się z tem, że jest jego żoną. Gdy później po ukończeniu studyów i po długim wypoczynku zmysły w niej ocknęły się, gdy wreszcie śmierć ojca nerwy jej wyprowadziła z równowagi, jęła się garnąć do niego tak serdecznie, że w końcu klocowata jego natura rozgrzała się trochę. Ale oczywiście ani uprzedzająca jej serdeczność, ani przyjście na świat córeczki nie zdołały przeistoczyć go całkowicie. Krótkie ich gorączkowe pożycie w Petersburgu zakłóciła intryga jakiegoś oszusta. Odtrącona, niezaspokojona, otrzeźwiona, pojechała natenczas do Paryża.

Chciała stanąć o własnych siłach, trzeba więc było zużytkować naukę — dla chleba. Przez długi czas pragnęła być nie uczoną, lecz kobietą i o szczęściu kobiecem marzyła. Źle na tem wyszła. Za pośrednictwem profesora Mittag-Lefflera, brata pani Edgren, otrzymała nominacyę na docenta matematyki w Sztokholmie. Przyjęła wezwanie, dziękując w listach, ale subtelne ucho dosłyszeć może w tej podzięce dziwne, tłumione uboczne tony.

(Dokończenie nastąpi.)





Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Dokończenie).

Co do natury samego wykładu, to nauczyciel ani na chwilę nie powinien zapomnieć o tem, z jakich żywiołów składa się jego publiczność i całą lekcyę utrzymywać, że się tak wyrażę w życiowym związku z tem otoczeniem, do jakiego ta ostatnia nawykła. O ile możności trzeba się starać przy tem uczynić wykład konkretnym tak n. p. przez illustracye zapomocą latarni magicznej, doświadczenia naukowe, rozmaite okazy, cytaty z literatury etc. Najsuchsze przedmioty w ten sposób nabierają interesu w oczach słuchaczy, tak np. geografia zapomocą obrazów rzucanych przez latarnię staje się jednym z najciekawszych przedmiotów i wdraża się doskonale w pamięć słuchaczy.

Naturalnie, odpowiednio do słuchaczy, wykłady modyfikują się pod względem popularności. Zaczynając od takich, które stoją istotnie na poziomie uniwersyteckich wykładów, dla publiczności, nie mogącej z jakich bądź zewnętrznych powodów uczęszczać do uniwersytetu, aż do wykładów dla robotników fabrycznych, przechodzi się rozmaite stopnie i odcienia. Specyalną trudność przedstawia dla profesora zastosowanie się do umysłu robotników, jako mających najgorsze przygotowanie naukowe i najmniej czasu do pracy umysłowej. Temu rodzajowi publiczności profesor powinien podawać jedynie samą kwintesencyę nauki, same najważniejsze rzeczy i mniej dbać o ich szczegółowe opracowanie.

Już z powyższego widać, że uniwersytety ludowe decentralizują naukę, uprawianą dotychczas właściwie tylko w tych nielicznych miastach, które są w stanie utrzymywać wielkie uniwersytety. Za pomocą uniwersytetów ludowych wnosi się życie umysłowe we wszystkie, chociażby drobne miasta prowincyonalne i pozwala się ich mieszkańcom korzystać z tych dóbr, jakie są dostępne np. w naszym kraju wyłącznie tylko mieszkańcom stolicy. Miasto prowincyonalne, które urządziło u siebie dział uniwersytetu ludowego, otrzymuje z tego następujące korzyści: Zwykle 6 tygodni przed Bożem Narodzeniem i sześć po niem trwają wykłady. Czterech lub pięciu profesorów dojeżdżając kolejno do danej miejscowości, wygłasza po jednym wykładzie tygodniowo Na wykłady te uczęszczają wedle życzenia ci sami słuchacze, albo na każdy inni, tak, że w ten sposób prowadzi się cztery do pięciu oddzielnych kursów sześcio tygodniowych. Profesorowie przy tem zachęcają słuchaczy do łączenia się w kluby, celem lepszego studyowania i dyskusyi nad danym przedmiotem. Zwykle kursa następujące po Bożem Narodzeniu są dalszym ciągiem wykładów prowadzonych przed niem, chociaż stanowią same w sobie pewną zamkniętą całość. Każdy zrozumie łatwo, że instytucya tego rodzaju przynosi z sobą wielkie ożywienie miejscowości, w której powstaje. Już sam przyjazd ludzi uczonych, przebywających stale w wielkich centrach umysłowego życia, wnosi nawet w bardzo odległe i uśpione zakątki masę nowych idei i dążeń obecnej epoki. Pewną trudność przedstawia czasem wyszukanie odpowiednich lokali na wykłady. Trzeba przyznać, że pod tym względem duchowieństwo amerykańskie stoi po większej części na poziomie swojego czasu i ze swej strony przyczynia się do podniesienia ruchu umysłowego, pozwalając na urządzanie lekcyi po salach kościelnych. W tymże celu służą sale szkolne, klubowe etc. Ilość słuchaczy jest bardzo różną, — czasem zbierze się kilka set, czasem kilku zaledwie. Powierzchownemu badaczowi wydać się może w tym ostatnim razie, że rezultaty nie opłacają zachodu. Amerykanie jednak tem się nie zrażają. Jako prawdziwy Yankee's, którzy niedawno jeszcze zdobyli wielką fortunę, zacząwszy od małego, wiedzą, że stała praca zdoła przynieść ogromne rezultaty.

Co do kosztów utrzymania, to instytucya lud. uniw. oparta jest na zasadzie samopomocy. Pensya profesorów, koszta przejazdów i inne wydatki są opłacane przez słuchaczy. Opłaty za lekcye odsyłają skarbnicy lokalnych centrów do ogólnego zarządu, który rozporządza niemi, rozdzielając je między profesorów, proporcyonalnie do ogólnej liczby słuchaczy, jakich mieli w ciągu pewnego czasu. Z tejże ogólnej kasy opłacają się przejazdy i wydatki na utrzymanie samego centralnego zarządu uniwersytetu ludowego i środków pomocniczych do wykładów. Niektóre jednak stany, jak New-York dają pewne zapomogi (10,000 dol. rocznie) uniwersytetowi ludowemu, które jednak idą nie na profesorów, a wyłącznie na środki pomocnicze do nauki.

Jedną z największych trudności wykładów jest utrzymanie w nich pewnego systemu. Profesorowie bowiem muszą wykładać przedewszystkiem to, co zajmuje ich słuchaczy, a nieraz rzeczy systematycznie najważniejsze nie przedstawiają się jako najciekawsze dla tychże. W większości wypadków istotnie też okazuje się możebnem tylko najsystematyczniejsze nauczanie.

W obecnym stanie rzeczy największa ilość słuchaczy uniwersytetów ludowych składa się z kobiet; tak np. na 11 tysięcy słuchaczów 10 tysięcy stanowią kobiety, a jeden tysiąc tylko robotnicy i inni mężczyźni. Mimo to tendencyą uniwersytetów ludowych jest właśnie ogarnięcie właściwych sfer ludowych, robotników fabrycznych, wieśniaków etc. Wszelki postęp w tym kierunku wita się z niezmiernym entuzyazmem. Od profesorów wymaga się apostolskiego ducha, — chęci niesienia światła ludowi i zamiłowania w pracy tego rodzaju. Wielkie znaczenie w nauczaniu ludowem ma sama indywidualność profesora. Jeżeli to jest człowiek niesympatyczny w pojęciu ludu, z trudnem obejściem się, patronizujący swoich słuchaczy, — wszystkie jego wysiłki pójdą na marne. Lud bowiem, tak samo jak i dzieci przedewszystkiem zwraca uwagę na osobę nauczyciela. Od wykładu wymaga lud, aby był on na seryo; na słuchanie bowiem rzeczy, której nie ceni i nie uważa za ważną. — nie ma czasu człowiek z ludu. Dla tego też wielkie powodzenie mają ci nauczyciele, którzy umieją wszystkiemu, co mówią, nadać pewne zabarwienie ideowo społeczne. Podnosi to od razu wartość wykładanej rzeczy i entuzyazmuje słuchaczy.

Jak we wszystkich przedsiębiorstwach prywatnych, tak i w uniwersytetach ludowych system wykładów nie spoczywa w raz na zawsze określonych granicach, ale zmienia się i modyfikuje pod różnemi wpływami, tak n. p. uniwersytety ludowe zapożyczają nieraz metody wykładów od systemu przyjętego w Chantauqua i użyczają mu nawzajem swoich sposobów. Jednakże w uniwersytetach ludowych nauczanie za pomocą korespondencyi nie uważa się za równoznaczne z nauczaniem ustnem i uczniowie chęcy zdawać egzamina na stopnie naukowe obowiązani są zawsze wykazać się z przesłuchania pewnej prawem określonej ilości wykładów.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o tem, że w Ameryce istnieją próby zastosowania wykładów uniwersytetu ludowego do szerzenia oświaty wśród farmerów, tej klasy ludzi, która u nas w Europie wskutek swego izolowania i monotonnych warunków bytu przedstawia najkonserwatywniejsze elementa społeczne. W Ameryce jednak cała siła duchowa narodu tak się skupia po miastach i łatwość komunikacyi tak bardzo umożebnia wieśniakom korzystanie z dogodności miejskich, że wykłady dla farmerów nie wyodrębniły się niczem z pośród innych wykładów dla ludu. Urządzane są też one zwykle po miasteczkach, dokąd farmerzy zjeżdżają z okolicy z żonami i dziećmi. Zapewne zastosowanie wykładów do tego rodzaju publiczności przedstawia jeszcze dużo trudności, ale ciągły postęp i rozwój metodyki daje nadzieję, że wkrótce i te trudności zostaną usunięte. Prawdopodobnie za jakie lat kilkadziesiąt zdobędziemy umiejętność podawania kształcącym się ludziom znacznie więcej nauki z bezporównania mniejszym wysiłkiem. Dotychczas bądź co bądź krótkie istnienie uniwersytetów ludowych przyniosło już pod tym względdm wiele owoców.

Ale nie tylko od postępów metodyki wykładowej zależy powodzenie całej sprawy. Równą rolę gra zbadanie i wynalezienie odpowiednich środków agitacyi w celu propagowania idei nauki i oświaty. Jest wiele rzeczy, które z natury swojej są zupełnie dostępnemi człowiekowi z ludu, a do których on jednak się nie garnie wprost z tego powodu, że nie umiano zwrócić na nie jego uwagi; rzeczą bowiem najmniej znaną ludziom nauki była dotychczas psychologia ludu. Gardzono niemal temi wszystkiemi środkami agitacyi, które będąc pozbawionemi znaczenia wśród ludzi wykształconych, mają jednakże wielki sens wśród ludu. Chcąc skłonić ten ostatni do pracy duchowej, podawano mu racye, mające jedynie znaczenie dla ludzi, którzy już przebyli długą drogę intelektualnego rozwoju. Dziś już Amerykanie pojęli, że do ludu trzeba przemawiać tym językiem, jaki on pojmuje i dopiero powału podnosić go do wyższego stopnia duchowego.

To też łatwiej im się niż nam udaje zainteresować i pociągnąć za sobą masy. Jeżeli z czasem, jak tego można się spodziewać, nauka udzielana przez uniwersytety ludowe rozpowszechni się i istotnie cały lud obejmie, to stworzy ona tak niezmiernie silny czynnik w duchowym i społecznym rozwoju, że doniosłość jego znaczenia trudno nawet sobie obecnie przedstawić.

Wprowadzi się tu w społeczne życie zamiast rutyny i tradycyi, opartej tylko na nawyknieniu, element świadomości. Będzie to istotnie rzeczą nową, wypływem współczesnego ducha i kultury, potężnym czynnikiem dalszego rozwoju ludzkości.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kongres kobiet w Genewie,

Od początku bieżącego tygodnia odbywa się kongres międzynarodowy kobiecy w Berlinie. Sprawozdanie z tegoż podamy później. Obecnie podajemy sprawozdanie z kongresu kobiecego w Genewie, który się odbył przed dwoma tygodniami.

Genewski kongres kobiet szwajcarskich, tem doniośléjsze ma znaczenie, że przez długie lata Szwajcarya opierała się wszelkim nowatorstwom w dziedzinie kwestyi kobiecej. Dopiero przed pięciu laty poczyniło kilka kobiet pierwsze kroki, ażeby kwestyi tej otworzyć drogę i dzisiaj istnieje na gruncie szwajcarskim pełno stowarzyszeń kobiecych, liczących przeszło 6000 członków. Obecnie zwolenniczki ruchu emancypacyjnego, mające dużo popleczników także w kołach męskich, zwłaszcza pomiędzy nauczycielami, czują się dość silne, aby wystąpić z mniej więcej ścisłym programem reform.

Usiłowania te znalazły głośne echo także w krajach ościennych, jak tego dowodzi udział delegacyi zagranicznych. Pomiędzy innymi przybyły na kongres pp. Tritfeld i Weinmann z austryjackiego stowarzyszenia kobiet, pani Reutern z Moskwy, panna Tribery z Helsingforsu, pana Menod z Wersalu i miss Wilson z Kanady.

Obrady zagaił genewski radca stanu R i c h a r d, wskazując z uznaniem na działalność kobiet szwajcarskich i zapowiadając, że kongres zajmie się przedewszystkiem sprawą wychowania młodzieży żeńskiej. Równocześnie napominał, ażeby nie stawiano zbyt daleko idących wymagań na polu politycznem, ponieważ kraj nie dojrzał jeszcze dostatecznie i ruch kobiecy mógłby wskutek tego bardzo łatwo stracić sympatyę.

Pierwsza już kwestya „o wspólnem wychowaniu na wszystkich stopniach szkoły“ dała powód do bardzo ożywionej dyskusyi. Starszy nauczyciel gimnazyalny S t u c k i z Berna, przemawiał za wspólnem wychowaniem obu płci na wszystkich stopniach szkoły, od szkół elementarnych począwszy, a skończywszy na uniwersytetach. Nie obawia się on żadnego pod względem moralnym niebezpieczeństwa, lecz owszem w wspólnem pożyciu, w wspólnej poważnej pracy obu płci, widzi właśnie najpewniejszą ochronę od zboczeń, których się przeciwnicy tego rodzaju edukacyi obawiają. W ten sposób stałoby się też najłatwiej zadość żądaniu, ażeby dziewczęta zażywały tej samej nauki, co i chłopcy.

Gdyby ostatecznie utworzono osobne gimnazya żeńskie, uczęszczanie do nich mogłoby bardzo łatwo stać się modnym nonsensem, albo też wiele rodziców zmuszałoby córki swe do uczęszczania do gimnazyów z samej tylko ambicyi, nie troszcząc się o to, czy uczennice mają należytą chęć lub zdolność.

Jednej części tych wywodów sprzeciwił się prof. Langiadere z Bazylei, dowodząc, że wspólnie kształcić można tylko do 12. roku życia, od tego czasu zaś aż do 18. roku należy dziewczęta kształcić osobno. Fizyologiczne bowiem procesy, spełniające się w tym czasie u dziewczyn, nie mogłyby przez długi czas ujść uwadze współuczniów, a wynikające z tego nieuniknione żarty i zaczepki, mogłyby doprowadzić do utraty jednej z największych cnót u dziewcząt. Kongres godził się z wywodami prof. Langiadere'go, odrzucając wnioski Stuckiego. W sprawie wyższego wykształcenia dziewcząt postanowiono dążyć do takiego systemu wychowawczego, aby kobiety wychowywać racyonalnie zarówno dla życia domowego, jak i zawodowego.

W tym celu mają być w wyższych szkołach żeńskich zaprowadzone kursa pedagogii,hygieny, pielęgnowania chorych oraz gospodarstwą domowego. Co do zawodów to w pierwszej linii uznano za najodpowiedniejszy zawód nauczycielek; dalej odpowiednią jest kobieta dla zawodu lekarskiego, na farmaceutę lub chemika.

Studya przygotowawcze dla uniwersytetu powinny się rozpocząć dopiero z 15 rokiem życia, powinny być jednak prowadzone w ten sbosób, ażeby w niczem nie pozostawały w tyle poza studyami męskiemi. Dalej domagają się kobiety gwałtownie, aby im otwarto podwoje handlu i przemysłu.

Tego rodzaju zawody i zajęcia są tylko środkami dla właściwych celów kulturnych i w niczem nie uszczuplają zadania płci żeńskiej w społeczeństwie. Jakkolwiek bowiem harmonijnie ukształtowane małżeństwo jest najpiękniejszym stosunkiem pomiędzy mężczyzną a kobietą i jakkolwiek przeważna część płci żeńskiej przenosi stan małżeński. to przecież mylnem jest zwykłe twierdzenie, że jedynem powołaniem kobiety jest małżeństwo, ponieważ przeszło połowa kobiet za mąż nie wychodzi i wcale nie jest ochronioną od nędzy. Zresztą należy kobiecie przyznać prawo postanawiania o sobie, według jej woli — czy chce wyjść za mąż, czy też pozostać pragnie w stanie bezżennym i pracować sama na utrzymanie.

Przy kwestyi ubezpieczania od chorób i wypadków, domagano się, ażeby ubezpieczan a te zorganizowane były przez państwo, i aby rozciągały się na wszystkie osoby, nie mające przynajmniej 5.000 f. dochodu.

W końcu mówił słynny prof. prawa Breidel z Lozanny o prawnem stanowisku kobiety. Domagał się on następujących rzeczy: Kobieta ma zatrzymać całą swoją cywilno-prawną zdolność działania. Rozdział majątku ma być ustawowem prawem małżeńskiem, dopuszczalne są jednak kontrakty ślubne.

Każde z stadła małżeńskiego administruje swój majątek i korzysta z niego samoistnie, a obie strony mają według sił przyczyniać się równomiernie do ponoszenia ciężarów życia rodzinnego. W razie śmierci, kurateli lub nieobecności ojca w kraju, prawo opieki nad dziećmi ma kobieta, a przy wzięciu w kuratelę jednej strony z stadła małżeńskiego, prawa opiekuńcze przechodzą na drugą stronę. Prawo opieki nad dzieckiem ma także matka niezamężna.

Przy rozwodzie władza rodzicielska przechodzi na tę stronę, która w rozerwaniu małżeństwa, albo wcale, albo mniejszą ponosi winę. Jeżeli wina jest równomierną, chowają się dzieci aż do 12 roku życia przy matce, a potem dziewczęta pozostają przy niej, chłopcy zaś przechodzą pod opiekę ojca. W razie śmierci jednej strony, dziedziczy druga, jeżeli są dzieci, część, przypadającą na jedno dziecko i ma prawo korzystania z dochodów majątku nieletnich. Prawo to ma matka także po powtórnem wyjściu za mąż, jeżeli są spadkobiercy drugiego stopnia (rodzice, rodzeństwo pozostawiającego spadek i ich potomstwo) dziedziczy pozostała strona połowę, przy dalszych krewnych cały majątek. Pod względem dziedziczenia mają być córki postawione na równi z synami. W całem prawie prywatnem ma być kobieta pozostawioną zupełnie na równi z mężczyzną.

TO I OWO.

„Kobieta akademicka“.

Po tym tytułem ukaże się w tych dniach w Berlinie książka, w której przeszło stu wybitnych niemieckich profesorów uniwersytetu oraz kilku najsłynniejszych literatów niemieckich wypowiedziało swoją opinią co do uzdolnienia rodu kobiecego do studyów uniwersyteckich. Książka ta podzielona jest na cztery fakultety. W fakultecie teologicznym prof. Otton Pfleiderer, między innemi, wypowiada taką opinię: „Mojem zdaniem, bywają między kobietami i pannami takie, które są uzdolnione do studyów akademickich. Tym nie można odmówić prawa do uczęszczania na uniwersytet, przypuściwszy, że dopełniły wymaganych przez prawo warunków, podobnie jak każdy student“.

Profesor Pfleiderer proponuje, aby dla studentek otworzyć tymczasem mały uniwersytet na prowincyi. Większość uczonych, którzy wypowiedzieli zdanie swoje w owej książce, jest za wyższemi studyami kobiet; nie brak wszakże i przeciwników, a jednym z nich jest prawnik i literat, Feliks Dahn. Pisze on: „O ile pożądanem byłoby otworzyć kobiecie nowe drogi zarobku, o tyle wielkiemi są trudności studyów akademickich. Przedewszystkiem trzebaby otworzyć wystarczającą liczbę gimnazyów; bez wykształcenia gimnazyalnego mogą kobiety i panny uczęszczać z korzyścią na niektóre tylko wykłady (historyi, języków, literatury, estetyki). Ale nawet, otrzymawszy wykształcenie gimnazyalne, nie mogą z powodzeniem studyować prawa i medycyny (conajwyżej, żeby zostać lepszemi akuszerkami). Sędziny i adwokatki nie mają u nas racyi bytu, a do zawodu lekarskiego nie posiadają kobiety zarówno wystarczających sił fizycznych jak i pewnych właściwości charakteru.

Prof. August v. Esmarch oświadcza między innemi: „Do studyowania medycyny wewnętrznej i ginekologii, nadają się może niektóre kobiety, ale chirurgię powinnyby wyłącznie pozostawić mężczyznom“. Natomiast słynny operator heidelberski, profesor Czerny, oświadcza się za dopuszczeniem kobiet nietylko do fakultetu medycznego, ale i do filozoficznego, prawnego a nawet teologicznego. Profesor Gusserow, obecny dziekan fakultetu medycznego w Berlinie, który był czynny jako docent przez lat dwanaście przy uniwersytecie w Zurychu, wystawia swoim tamtejszym uczennicom co do powagi i pilności w studyowaniu najlepsze świadectwo. Filologowie są przeważnie przeciwnikami studyów kobiecych, a do nich należy profesor Weber, znany berliński znawca sanskrytu, oraz profesor Sachau, dyrektor berlińskiego seminaryum wschodniego, również sędziwy filolog, profesor Steinthal; ten ostatni pisze: „Przypuśćmy, że pozyskalibyśmy od-

tąd dwa razy więcej uczonych, artystów i literatów, niż mieliśmy dotychczas w każdem pokoleniu, skutkiem właśnie pomocy rodzaju żeńskiego, i żeby między nimi znajdowali się Leibnitz'e, Rafaele i Mozart'y płci żeńskiej, — nie skorzystalibyśmy na tem tyle, ile straciłby przez to rodzaj ludzki — mianowicie swoją kobiecą połowę. Dla niepewnej nadziei pozyskania jeszcze jednego Goethe'go, ubolewałbym nad pewnością utraty matki Goethowskiej".

* * *

Polskie kobiety — polska mowa.

Pragska „Polityk" zamieszcza w odcinku „Listy z Nowogrodu", których autor, opisując swoją drogę na wystawę, poświęca jeden ustęp wrażeniom z Częstochowy, w drugim, potrąciwszy o Warszawę, rozpływa się cały w entuzyazmie dla polskich kobiet, zwłaszcza warszawskich. „Rzadko tak bywa — pisze — aby w jakiemś mieście zdarzyło się spotkać tyle czystej krwi rasowych piękności co na ulicach i miejscach spacerowych miast polskich. Wyjątek stanowi Paryż, lecz trzeba o tem pamiętać, że Paryż jest punktem środkowym, ku któremu dążą piękności wszystkich krajów, spekulujące na swojej piękności, lub mogące spekulować. Paryż jest giełdą pięknego świata, wzorem dla mniejszych miast i dla takich, gdzie mniej najróżnorodniejszego krzyżowania ras i ludów. Ale po co dolewać wody do morza: przecież Polki oddawna słyną ze swej piękności. Ze wszystkiego poznać, iż tu się wytworzył specyalny kult wszystkiego tego, co kobietę zdobi i podnosi nad poziom codziennej powszechności. To jest jeden z najpiękniejszych rysów słowiańskiego charakteru, a Polacy rys ten do pewnej doskonałości doprowadzili." Dalej autor, mimowoli może, jest trochę niegrzecznym, twierdząc, że szminki i kosmetyki są u Polek powszechną rzeczą, lecz zaraz dodaje, że nie jestto u nich „środek oszukiwania i podania mężczyźnie fałszywego towaru, lecz ostatnia, najmniej ważna część zewnętrznego zdobienia się", a następnie tak pisze: „Elegancyę i wytworny zmysł formy można zresztą pod innym względem u Polek zauważyć, smukłe, giętkie formy, powiewne poruszenia, dyskretny chód, wdzięk gestów i dystyngowana modulacya głosu, wszystko jest tutaj do najdelikatniejszego wyrafinowania doprowadzone, bez wpadania w nienaturalność. Zdaje się, jestto skutek wrodzonego wytwornego instynktu, głęboko w życie zapuszczającego korzenie taktu. Jeśli Polki podniosą nieco w górę swoje suknie, ukazuje się z pod nich taka olśniewająca, bez zarzutu, niepokalana białość, jak gdyby po ulicy nie chodziły, jak gdyby stanęły przed nami w śnieżnej czystości swej porannej toalety. Ale najpiękniejsze u nich to zdaje się ich głos. Dzwonki brzmią około ciebie, wysokie, harmonijne, srebrne dzwonki, lecz pełne życia i silnego temperamentu. Polska mowa jakby tylko dla nich była stworzona, a z tych warg brzmi w swoim idealnym wdzięku. Jest to głos którym się „miłość" (po polsku napisane P. R.) wyznaje, pochlebny, czysty jak dzwon, prawdziwie kobiecy, giętki, a tak ujmujący, że chciałbyś oczy przymknąć i słuchać tego głosu, tej pieśni z ust dziewczęcych! Jak wąż owinie ci się około serca. To mowa miłości, pochlebnie woniejąca, mowa, na której rozwój zawsze niewątpliwie kobiety w pierwszym rzędzie wpływały. Sprzeczają się ludzie ciągle, gdzie właściwie Ewa Adama skusiła, czy gdzieś w Azyi nad brzegami Eufratu i Tygrysu, czy gdzie, lecz ja sądzę, że to tylko nad brzegami Wisły być mogło, gdyż znalazłem tutaj w całej doskonałości wszystkie czynniki tej przebiegłej, rozważnej rasy, wszystką tę broń, dzięki której słaba Dalila mocnego Samsona zmusiła do ucięcia włosów. Następnie autor na stu przeszło wierszach opisuje egzemplarz typowej Polki, że się tak trywialnie wyrazić, jaki udało mu się w tramwaju spotkać i przy tej sposobności powraca znów do piękności mowy naszej, pisząc: Słyszałem z ust jej tę wspaniałą melodyę polskiej mowy, która już samym wdziękiem swoim rozgrzewa, tę mowę o najbardziej uwodzicielskim, najniebezpieczniejszym dźwięku, jakim kobieta rozporządzać może."

KRONIKA LITERACKA

Od października zacznie wychodzić w Warszawie tygodnik p. t. „Kuryer Niedzielny". Pismo to zamierza uprawiać literaturę, sztukę i popularyzowanie wiedzy, prowadzić będzie również, jak głosi prospekt, obszerniej dział krytyczny, stawia zaś sobie za cel służenie ideałom wiedzy, dobra publicznego i piękna i artyzmu.

* * *

Wyszedł nr. 18. „Gazety Handlowo-geograficznej" organ polskiego Towarzystwa Handlowo-geograficznego i zawiera następujące artykuły:

Od administracyi. — Wznowienie emigracyi niemieckiej do Brazylii i wpływ tegoż na ludność polską pod zaborem pruskim. — Dom polski w Chicago. — Korespondencye. — Emigracya i kolonizacya. — Gospodarstwo, przemysł i handel. — Informacye. — Prospekt. — Odpowiedzi od redakcyi. – Ogłoszenia.

* * *

Nr. 9 (na wrzesień) „Przewodnika zdrowia" (Czarnowski, Berlin N., Karlstr. 32) wyszedł i zawiera: Denerwowani przez szkołę. — Otruwanie się jądrami owocowemi. — Pomidory jako pokarm i lekarstwo. — Ziółko wrześniowe. — Tajemnicze środki i ich składniki. — Z chwil bieżących. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

* * *

* Ruch literacki we Francyi. Ostatni numer czasopisma „Akademische Revue" zawiera ciekawe dane statystyczne o produkcyi literackiej we Francyi w roku 1895. Ogółem w roku sprawozdawczym wyszło z druku 10,115 nowych książek (włączając wydania powtórne), t. j. o 344 mniej, niż w r. 1894. Z dzieł treści naukowej przypada: na teologię 790 (wobec 948 w roku poprzedzającym), prawo 293, (wobec 284), filozofię i etykę 153 (wobec 138). nauki polityczne 473 (wobec 500), matematykę 76 (wobec 61), nauki przyrodnicze 251 (wobec 190), medycynę 1,141 (wobec 1,227), historyę 1,095 (wobec 1,179), geografię i etnografię, 267 (wobec 292), literaturę francuską 1,875 (wobec 2,022), literatury zagraniczne 242 (wobec 238), na literaturę starożytną 58 (wobec 61), na pedagogikę 1,822 (wobec 1,852).

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Nie można mówić w postawie leżącej, ani na odwrót w położeniu siedzącem, lub stojącem, tylko przeciwnie, gdyż postawa może być stojąca, lub siedząca, położenie zaś tylko leżące.

* Od p. K. Bujwidowej odbieramy następującą wzmiankę:

Ze „Stowarzyszenia pomocy naukowej dla Polek im. Kraszewskiego". Stosownie do uchwały wydziału stowarzyszenia zarząd zwrócił się do polek, które ukończyły studya uniwersyteckie i pracują naukowo z prośbą, by zechciały w jesieni r. b. wygłosić w Krakowie na dochód stowarzyszenia seryę odczytów. Dotychczas zarząd otrzymał odpowiedzi przychylne od pań dra. med. Anny Tomaszewicz-Dobrskiej z Warszawy, dra. filozofii Zofii Daszyńskiej z Berlina i dra. med. Teodory Krajewskiej z Dolniej Tuzli w Bośnii. Nadto otrzymał zarząd listy od dra. med. Bronisławy Dłuskiej z Paryża, oraz dra. fil. Soteyko-Rudnickiej z Warszawy, że radeby jaknajserdeczniej poprzeć cele stowarzyszenia, że w jesieni wszakże r. b. w żaden sposób uczynić tego nie będą mogły, że natomiast na wiosnę roku przyszłego z całą gotowością do Krakowa pospieszą.

Wobec tego zarząd postanawia urządzić na razie seryę tylko z 3ech odczytów złożoną, odkładając dalszy ciąg na wiosnę. Dokładny termin i tematy odczytów ogłoszone zostaną niebawem.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Warszawskie „Słowo" pisze: „Dowiadujemy się, iż Zygmunt Noskowski ukończył już operę swoją pt. „Livia Quintilia". Opera to dwuaktowa, a jak wyrażają się ci, co mieli sposobność słyszeć ją, jest ona bodaj czy nie najlepszem dziełem Noskowskiego. „Livia Quintilia" ma być wystawiona w sezonie zimowym w teatrze lwowskim, mamy jednakże nadzieję, że teatr warszawski nie pozwoli na wydarcie sobie pierwszeństwa w wystawieniu opery, napisanej przez kompozytora miejscowego, a tak wybitnego. Wszak nawet nie słysząc opery Noskowskiego, bez obawy popełnienia omyłki śmiało powiedzieć można, że będzie ona lepszą od wystawionej u nas przed dwoma laty „Mary", Cipoliniego „Małego Haydna", „A Santa Lucia" itd., i że będzie miała powodzenie. Obowiązkiem teatrów jest popieranie rozwoju talentów pisarzy i kompozytorów, choćby tylko dla ożywienia repertoaru." — P. Maryan Gawalewicz, na żądanie dyrekcyi teatrów warszawskich, przełożył na język polski 5-aktowy dramat Wiktoryna Sardou „Ghismonda" dla teatru wielkiego i 3-aktową krotochwilę Franciszka Schönthana pt. „Hrabina Oczko" (Comtesse Guckerl). — W czeskiem „Divadle" narodowem na kierownika repertuaru wybrany został jednogłośnie p. Jan Lier, znany nowelista i krytyk. Nowy kierownik włada obcemi językami, między innemi i polskim, zna także literaturę naszą, o której niejednokrotnie wyrażał się bardzo sympatycznie. — P. Pius Weloński w przejeździe do Petersburga zatrzymał się w Warszawie. W ostatnim czasie w pracowni swojej w Rzymie, gdzie stale przebywa, wykonał p. Weloński dużych rozmiarów figurę, przedstawiającą „Prometeusza." — P. Józef Hofman — jak donosi „Echo muzyczne" przez całą jesień i połowę zimy koncertować będzie w Petersburgu i Moskwie, oraz w miastach prowincyonalnych Cesarstwa. W Warszawie p. Hofman da koncert w początkach listopada.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Wielkopolaninowi.** Nadesłanego artykułu umieścić nie mogliśmy.

— **Panu A. R. B.** Decyzya nastąpi, skoro powróci redaktor p. Dr. R. z podróży swej do Anglii.

— **Panu X. Z.** Difficile est satiram non scribere jest cytatem z Juwenala (Satir I, 30). Juwenalis rzymski poeta satyryczny ur. się około r. 47 po Chryst.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych Abonentów, którzy odbierają „Przegląd" pod opaską, a nie nadesłali dotychczas prenumeraty za bieżący kwartał, upraszamy o niezwłoczne nadesłanie należytości.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28